NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty popołudniu.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
№ TELEFONU 510.

Rok I. | Kraków, 1 października 1904 r. | Nr. 1.

Straszna śmierć pod kołami pociągu.



Śmierć Magdusi Kowalikowej, wieśniaczki z Lencz, pod kołami pociągu. (Patrz artykuł na str. 2).

OD WYDAWNICTWA.

Brak pisma **polskiego,** będącego wiernem odbiciem wszystkich wypadków tak w kraju jak zagranicą, pisma, któreby z pominięciem walk klasowych i stronniczych zapatrywań, informowało jak najszersze warstwy społeczeństwa naszego o każdem ważniejszem zdarzeniu, uzmysławiając równocześnie barwny opis faktu illustracyami, czy to w formie reprodukcyi fotograficznych, czy też oryginalnych szkiców z natury, a z drugiej strony **formalny najazd pism niemieckich tego rodzaju,** które wyrywają jedynie krwawo zapracowany grosz z kieszeni naszego społeczeństwa, nie dając mu w zamian nic a nic, skłonił nas do stworzenia właśnie takiego pisma, któreby nie będąc li tylko pismem literackiem w całem tego słowa znaczeniu, obejmowało opisy poszczególnych faktów i wypadków interesujących cały ogół polski z pod wszystkich trzech zaborów. Takiem pismem będą:

„NOWOŚCI ILLUSTROWANE“.

Podejmując więc wydawnictwo tygodnika **„Nowości illustrowane“,** pragniemy, przedstawiając nasz program, uniknąć wszelkich szumnych zapowiedzi. Niechaj pismo nasze samo mówi o sobie i za siebie. Stwarzamy nowy typ pisma, jakiego u nas niema jeszcze, nowy zarówno ze względu na treść, jak i na przystępność ceny.

W społeczeństwie naszem, zbyt rozbitanem na partye **„Nowości illustrowane“** zajmą stanowisko bezstronnego obserwatora. Przyniosą społeczeństwu naszemu zdrową i pożyteczną karm literacką, podaną w sposób jasny, zwięzły i zrozumiały, a przedstawiając w barwnym obrazie całokształt życia narodowego, umocnią wiarę we własne siły i miłość kraju, daleką od tej pessymistycznej goryczy, zbyt silnie zaprawiającej nasze życie społeczne.

W tem leży właśnie ważne społeczne zadanie nowego pisma!

Bo i w dziedzinie piśmiennictwa zbyt mało ufamy sobie, zbyt zależymy niestety od obcych. Nam się zdaje, jakoby u nas nie było czytelników. Ależ tu nas obce wydawnictwa zalewają wprost falą niemczyzny!

Pismo nasze zamierza spełnić to zadanie i **usunąć z rąk polskich wrogie nam illustracye!**

Redakcya nasza, podejmując tę ciężką lecz zarazem wdzięczną pracę, tuszy sobie, że pismo zdobędzie sobie w krótkim czasie uznanie licznego koła czytelników, będzie pożądanym gościem w każdym domu polskim — tembardziej, że cena pisma jest nadzwyczaj przystępna.

Taki jest nasz program — w tym kierunku zamierzamy służyć społeczeństwu i pewni jesteśmy, że tak jak my nie będziemy szczędzić kosztów i wydatków, byleby tylko zadowolić pod każdym względem i w każdym kierunku P. T. czytającą Publiczność, tak samo i ta P. T. Publiczność nie będzie szczędzić poparcia ze swej strony.

Ufni w to poparcie przystępujemy do pracy chętnie i z zapałem, przekonani, że społeczeństwo potrafi ją ocenić i zrozumie, jak zrazu ciężką będzie nasza walka z konkurencyą podobnych pism niemieckich, które się u nas już rozpanoszyły.....

Poza tem wstrzymujemy się od wszelkich szumnych zapowiedzi. Niechaj **„Nowości illustrowane“** same mówią za siebie, a każdy z Czytelników niech sam przekona się, jakiem jest to pismo.

Redakcya **„Nowości illustrowanych“** najuprzejmiej uprasza Pp. fotografów amatorów, zwłaszcza na prowincyi, aby zechcieli jej nadsyłać fotografie swoje, illustrujące bieżące wypadki życia towarzyskiego i sportowego, zjazdy, obchody, uroczystości, krajobrazy i t. p.

Fotografie nie potrzebują być ani retuszowane, ani naklejone — byle tylko były nadsyłane bezzwłocznie.



Odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu: Pomnik Bartosza Głowackiego.

Odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.

Zawsze takie ciche, spokojne miasteczko Tarnobrzeg, dnia 9 b. m. zabrzmiało jakiemś niezwykłem życiem, zaroiło się od sukman chłopskich, czamarek sokolich, od krasnych chust bab i dziewoi wiejskich.

W Tarnobrzegu dnia tego obchodzono wielkie święto, uczczono pamięć bohatera w siermiędze, chłopa, który dał wszystkim rodakom przykład, jak kochać tę ziemię ojczystą, choć nieraz nam ona jest macochą nie matką!... Lud z powiatu tarnobrzeskiego bohaterowi z pod Racławic, Bartoszowi Głowackiemu na rynku tarnobrzeskim postawił prosty pomnik wyciosany w kamieniu, a dnia tego odbyła się uroczystość odsłonięcia jego i oddania pod opiekę miasta.

Wczesnym rankiem wystrzały moździerzowe i huczna pobudka odegrana przez tameczną Harmonię rozpoczęły uroczystość...

Z dworca kolejowego dolatują dźwięki muzyki. To sokoli miejscowi wraz z okolicznymi włościanami witają gości z dalekich stron przybyłych. Ruch, gwar, zamięszanie, okrzyki powitania trwają chwilę dość długą i zwolna formuje się pochód, który otwiera sześć młodych sokolic z Mielca w barwnych strojach. Za niemi w równych szeregach postępują karnie sokoli i tłumy ludu. Pochód zdąża do kościoła klasztornego OO. Dominikanów w Dzikowie, gdzie uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem celebrowanem przez księdza prowincyonała Bielasa, a po którem wygłosił kazanie kanonik buczacki ks. prałat Gromnicki.

Wśród zebranych gości widać rozjaśnione twarze naszych posłów ludowych i włościan znanych z swych występów na arenie politycznej; trzymają się w jednej grupie poseł Żardecki, Bojko, Stapiński, dr. Bernadzikowski, Krempa i włościanie Wójcik, Więcek z Machowa, Rak z Bieńczyc, Słomka oraz i wielu innych.

Nie brak wydziału powiatowego z marszałkiem Horodyńskim i wicemarszałkiem Surowieckim na czele. Są Stanisław i Zdzisław hr. Tarnowscy wraz z rodzinami, cała miejscowa inteligencya i wiele przyjezdnych.

Po nabożeństwie pochód ruszył barwną falą na rynek tarnobrzeski przed pomnik, który otoczyła wieńcem rada miejska tarnobrzeska, sokolstwo, posłowie i delegacye z pod zaboru rosyjskiego z wieńcami. Szerszem kołem opasał pomnik lud włościański, kosynierzy pod wodzą Więcka z Machowa i liczne banderye Krakusów z lancami, z posłem Krempą na czele...

Chór sokoli zaintonował znaną pieśń „Gaude mater“, poczem włościanin Słomka, przewodniczący komitetu budowy pomnika złożywszy hołd boha-



Odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu: Przemówienie włościanina Słomki.

terowi z pod chłopskiej strzechy, oddał pomnik w ręce przedstawicieli miasta.

W tej chmili spadły zasłony z pomnika i muzyka zagrała pieśń legionów, którą tłumy podchwyciły natychmiast i z tysiąca piersi wzniosła się w niebo, tchnąca weselem i radością.

Pomnik przedstawia się wspaniale i robi imponujące wrażenie. Będzie on wspaniałą ozdobą miasta i Polski. Bartosz Głowacki ze wzniesioną kosą w górę, będzie przypominał, że w poświęceniu jest siła i moc, krzepiąca zwątlałe siły naszej Ojczyzny. Orzeł rwiący się z rozwiniętemi skrzydły do lotu, jest odbiciem naszej teraźniejszości. Pomnik, dzieło Michała Korpala, na frontowej ścianie nosi napis: „Bartoszowi Głowackiemu — Naród polski. Staraniem ludu powiatu tarnobrzeskiego“.

Pomnik imieniem gminy przyjął dr. Orzechowski poczem zabrał głos poseł Bojko, który w przemowie swej zaznaczył, że ten prosty chłop ten Bartosz Głowacki, jest dla nas wzorem i przykładem, jaką ma być praca narodowa i jak dla niej wszystko nawet życie i zdrowie ofiarować się powinno.

Przemowę posła Bojki przyjęto z szalonym entuzyazmem. Z kolei przemawiali jeszcze akademicy Pruszyński i Dulęba oraz redaktor „Ojczyzny“ Panek, poczem włościanin Słomka odczytał cały stos telegramów gratulacyjnych nadesłanych na ręce komitetu ze wszystkich stron naszej ziemi. Na tem zakończyła się uroczystość, która swym podniosłym charakterem zapisze się pewnie na wieki w pamięci jej uczestników.

Z wystawy metalowej
w Krakowie.

Twórcom tegorocznej wystawy metalowej należy się doprawdy wielka wdzięczność i uznanie, bo na tej wystawie mogliśmy przekonać się naocznie o dwóch ważnych rzeczach: o obecnym stanie naszego przemysłu krajowego w zakresie co prawda tylko metalurgii, lub tych gałęzi przemysłu, jakie z nią wchodzą w ścisły kontakt i o tem, jak wspaniale mógłby się ten przemysł rozwinąć i jak podatne miałby ku temu pole, gdyby o uprzemysłowieniu Galicyi mniej mówiono, a... więcej nad niem pracowano!...

Wystawa metalowa to dobry probierz sił naszych, i z niej widzimy, że sił nie brak nam



Z wystawy metalowej: Główne wejście na wystawę.

wcale, że wytwory krajowe nietylko w niczem nie ustępują zagranicznym, ale nawet pod względem trwałości wykonania je przewyższają — pozatem jednak widzimy i to, że przemysłowcom naszym brakuje do rozwinięcia tych sił z jednej strony kapitałów, a z drugiej poparcia wśród społeczeństwa, poparcia wydatnego, bo... na platoniczue poparcie stać nas zawsze, i tego krajowym fabrykom bynajmniej się nie szczędzi!...

To też z chwilą, gdy w tym kierunku nastąpi zwrot, gdy kapitały krajowe miast gnić w zagranicznych bankach, lub wspierać zagraniczne przedsiębiorstwa, staną do walki z zagranicznym przemysłem, gdy hasło „kupujcie u swoich“, lub „wspierajcie przemysł krajowy“ przestanie być czczem słowem i w czyny się zamieni — możemy rokować sobie świetną przyszłość, możemy mieć nadzieję, że zniknie nędza, w której cały kraj tonie, i zaświeci nam słońce lepszej doli!...



Odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu: Przemówienie posła Bojki.

A że na dalekim, co prawda bardzo dalekim widnokręgu tej lepszej przyszłości, powoli świt już szarzeje — tego dowodem obecna wystawa metalowa.

* * *

Wystawa w głównej części obmyślana i stworzona przez istniejące w Krakowie towarzystwo dla popierania przemysłu krajowego „O własnych siłach“, mieści się na placu jaki tworzy zbieg ulic: Wielopole, Starowiślna i Dietlowska, przyczem zajmując zamknięte między temi ulicami plantacye dietlowskie opiera się najdalej wysuniętym punktem o ulicę Grzegórzecką.

Pawilony — a raczej jeden główny wielki pawilon, bo prócz niego i pawiloniku restauracyjnego niema innych budynków, wraz z bramą wchodową projektowane i wzniesione przez tutejszego architektę p. Lieblinga mile przedstawiają się oku, zwłaszcza zaś główne wejście na wystawę, brama zbudowana w czysto krajowym stylu i bardzo przypominająca dawne bramy wjazdowe mazurskich dworów szlacheckich, których mniej okazałe podobizny i dziś jeszcze można spotkać przy obejściach wieśniaczych.

Wchodzącego na wystawę na pierwszy rzut oka zwraca uwagę pomnik Stanisława Szczepanowskiego, tego wielkiego idealisty i — rzec można — pierwszego szermierza w sprawie uprzymysłowienia Galicyi, który ożywiony najlepszemi chęciami, ale nie umiejący się liczyć z okolicznościami, w jakich pracował, i środkami, jakiemi mógł rozporządzać, tak smutnie skończył. Pomnik ten wykonany w bronzie wspólnemi siłami odlewarni Jana Kupieckiego i zakładu cyzylersko-bronzowniczego Wilhelma Sknurzyla we Lwowie jasno dowodzi, że i u nas w kraju odlewy artystyczne wykonują wcale nie gorzej jak zagranicą.

Great attraction całej wystawy jest główny pawilon wystawowy o bardzo ładnem i okazałem wejściu głównem, które zdobi napis „O własnych siłach“.

Tu gęsto rozsiedli si, wystawcy, wśród których warsztaty kolei państwowych galicyjskich: lwowskie, stanisławowskie, nowosądeckie, styryjskie i przemyskie, pierwsze zajęły miejsce. Wśród gustownie ułożonych emblematów kolejowych wi- dzimy rozmaite części lokomotyw i wagonów, c wielu innych przedmiotów, będących w ścis związku z potrzebami ruchu kolejowego.

Galicyjskie koleje państwowe dokładnie kazały, że ich warsztaty mają się czem poch Każda rzecz jest tak dokładnie odrobion wycyzelowana, że najwybredniejszy zna jest w stanie zarzucić jej coś kolwiek. względem nawet z grubsza tylko lute ha czenia wagonów mogą być uważane za tego rodzaju roboty powinny być wyko

Ogólną zaś uwagę zwraca nader zgrab konany model wagonu towarowego. Całość



Z wystawy metalowej: Wejście do głównego paw

działu przedstawia się nadzwyczaj impo zdaje się tchnąć tą siłą i potęgą, którą dziś leje żelazne są w życiu narodów.

Tyle na dziś z wystawy metalowej, do kt powrócimy jeszcze w przyszłym numerze.



Z wystawy metalowej w Krakowie: Pawilon c. k. kolei państwowej. (Opis na str. 3).



Z wystawy metalowej: Pomnik St. Szczepanowskiego. (Opis na str. 3).

…szna śmierć pod kołami pociągu.

(Do ilustracyi na stronnicy tytułowej).

…e ludzkie — to bańka mydlana; piękna. …swemi tęczowemi barwy bańka mydlana, …a chwila prysnąć może, za pierwszym …podmuchem wiatru!... Gdzie i kiedy i jak …ka pryśnie, tego niewiemy.... Spodziewamy …tej chwili i gotujemy się do niej, gdy choroba …nas rzuci na łoże boleści... Ta śmierć, która krąży wtedy nad nami choć spodziewana nie jest tak straszna, bo zawsze jeszcze na dnie serca żywimy nadzieję, że zdołamy się wyrwać z jej zimnego uścisku. Lecz jak straszną musi być ta śmierć, która nagle zaglądnie nam w oczy i nim zdołamy …knąć się przerażeni jej widokiem chwyta nas …we objęcia?!..

…Nagła śmierć! Te dwa słowa dreszczem i trwogą przejmują nawet najodważniejszych. Dla ofiar takiej śmierci zawsze mamy słowo ubolewania....

Taka nagła całkiem, niespodziewana śmierć spotkała dnia 15 września młodą gosposię wiejską z Leńcza, Magdusię Kowalikową. Biedna wieśniaczka chciała wraz z swą krówką przejść przez tor kolejowy między Radziszowem a Leńczem na 36 kilometrze, gdy w tem nadjechał pociąg nro 1120....

W ostatniej chwili dopiero maszynista dostrzegł przeszkodę na torze; w ostatniej chwili biedna Magdusia zoryentowała się, co jej grozi. Chciała się cofnąć... niestety było już zapóźno. Maszynista uczynił co mógł, ale rozpędzonego pociągu nie był w stanie odrazu wstrzymać w biegu.

Rozległ się nieludzki przerażający krzyk....

Gdy pociąg stanął, służba kolejowa przybiegła na miejsce wypadku, na torze leżał skrwawiony straszny trup Kowalikowej....

Krowa cudem prawie ocalała i nieprzeczuwając śmierci swej pani, pasła się dalej spokojnie po drugiej stronie toru.

Rycina nasza zrobiona według nadesłanego nam z Radziszowa – szkicu, przedstawia chwilę, w której konduktor pociągu biegnie do trupa Kowalikowej.



Z teatru ludowego: Sala teatru ludowego.

Teatr ludowy w Krakowie.

Wiemy chyba zbyt dobrze jak wysoce kulturalne i cywilizacyjne posłannictwo spełnia teatr w życiu narodów; jest to szkoła, która bawiąc kształci a działając równocześnie na słuch i na wzrok, bardziej wzbogaca żywem słowem w wiedzę umysły mniej inteligentnych i wykształconych widzów, niżby to zdołało uczynić słowo martwe drukowane.

Jeśli zaś w ogólności rzecz biorąc scena ma być nietylko prostą rozrywką, ale spełniać obok tego pedagogiczne zadanie, to w szczególności teatr ludowy przedewszystkiem ma ten charakter nauczycielski i jest tą szkołą, w której szerokie a ubogie warstwy ludności łącząc przyjemne z pożytecznem powinny podnosić poziom swej inteligencyi i swego wykształcenia... Do tego celu powinien teatr ludowy zawsze zdążać; myśl o tem zadaniu powinna zawsze kierować jego repertuarem; to powinna zawsze uwzględniać techniczna i dekoracyjna strona wszystkich przedstawień...

Gdy w Krakowie zrodziła się myśl stworzenia teatru ludowego, gdy znany i utalentowany artysta p. Wł. Knake-Zawadzki przystąpił do zrealizowania tej myśli, ludzie dobrze myślący powitali z radością tę chwilę i twórcy teatru ludowego nieszczędzili poparcia... Niestety łatwo jest iść udeptaną ścieżką, niż dopiero samemu ją udeptać! Panu Zawadzkiemu przypadło w udziale to drugie cięższe zadanie... Zwolennicy idei teatru ludowego, którzy w pierwszej chwili byli nawet skłonni do ofiar, szybko ostygli a gdy zgasł ten słomiany zapał, p. Zawadzkiemu pozostało tylko platoniczne poparcie i własne siły... Tych zaś własnych sił, czyli otwarcie mówiąc własnych funduszów p. Zawadzki miał bardzo mało. Więc też mimo usilnej natężającej pracy, po paroletniej walce, twórca teatru ludowego w Krakowie z bolem serca, z głębokim żalem musiał rozwiązać swoje towarzystwo i oglądnąć się za kawałkiem chleba...

I krakowski teatr ludowy, który zrazu dawał przedstawienia w starej dziś już zburzonej ujeżdżalni pod Kapucynami, zanim następnie przeniósł się do budynku na ten cel odnowionego przez p. Olszeniaka tutejszego przemysłowca, w gruncie rzeczy przestał istnieć. Wprawdzie pan Olszeniak zebrał koło siebie gromadkę ludzi i dalej w swym gmachu dawał przedstawienia — ale... to już nie był teatr ludowy. Pan Olszeniak, choć może najlepszymi chęciami ożywiony, niemiał ani funduszów, żeby skupić na swej scenie bodaj jakich takich artystów, ani też kwalifikacyi na dyrektora teatru...

Po dłuższej pauzie teatr ludowy wydzierżawiła spółka złożona z panów Grabowskiego i Wodzińskiego, którzy dla interesu sprowadzili czeską operetkę!... Ale interes się nie udał. Pan Wodziński umknął za granicę, a Grabowski z długami pozostał w Krakowie...

Wówczas budynek teatralny wydzierżawiło Towarzystwo Oświaty ludowej, a kierownikiem artystycznym został dyrektor prowincyonalnej trupy p. Antoni Müller. Zdawało się, że teraz los teatru ludowego jest zapewniony. Niestety! Za kosztowna gospodarka nadwerężyła niebawem fundusze Towarzystwa i teatr w własną antrepryzę wziął ar-



Teatr ludowy.



Półmilionowa defraudacya: Stan. Barko, kupiec. (Treść na str. 19).

tysta teatru miejskiego pan Jejde. Ale i ten po paru miesiącach straciwszy wszystko co sobie zaoszczędził w ciągu kilkudziesięcioletniej pracy — ustąpił.

Dziś teatr ludowy powstał do nowego życia po dłuższej przerwie. Salę odnowiono kompletnie przyozdobiono skromnemi malowidłami w stylu bronowickim, uzupełniono maszyneryę sceniczną i rozpoczęto już przedstawienia.

Kierownikiem względnie dzierżawcą został p. Kazimierz Gabryelski.

Z kilku pierwszych przedstawień trudno jeszcze wróżyć o przyszłości, trudno wyrobić sobie zdanie o nowym personalu artystycznym o jego poziomie i utalentowaniu.

Pod tym względem musimy powstrzymać się jeszcze od wszelkich enuncyacyi i zwrócić tylko uwagę czytelników, że instytucya tak potrzebna, o ile na to pracą dalszą zasługiwać będzie, powinna zyskać i uznanie i poparcie.

Pierwsze kroki nowego kierownika tego teatru są dość szczęśliwe. Dobrze dobrany repertuar i przynajmniej zgrany ze sobą zespół czynią na widzu dość miłe na ogół wrażenie i zachęcają go do częstszego odwiedzania tej sceny. A jak na początek, już i to jest bardzo wiele.



Półmilionowa defraudacya: Maks. Müller, b. nacz. biur Tow. kred. ręk i przem. w Krakowie. (Treść na str. 19).



Z doby pożarów: Zgliszcza baraków wojskowych w Zabłociu na Podgórzu. (Opis na str. 13).



Elektrownia miejska w Krakowie: Zewnętrzny widok gmachu elektrowni.

Elektrownia miejska w Krakowie.

Z całego szeregu inwestycyi, jakie w swym programie podczas ostatnich wyborów do rady miejskiej zamieściła partya konserwatywna, bardzo niewiele ujrzało dotychczas światło dzienne. Przyczyny tego były bardzo różnorodnej natury i wiele dałoby się o nich powiedzieć, za najgłówniejszą jednak, za podstawową musimy uważać zły stan finansów gminy krakowskiej, która już od dwóch lat bilans roczny zamyka... niedoborem!...

Słusznie więc zarząd gminy zabierając się do przeprowadzenia zapowiedzianych inwestycyi w pierwszej linii stara się zrealizować te projekty, które nietylko ogółowi mieszkańców przyniosą korzyść i wygodę, lecz także kasie gminnej przysporzą zysków.

Taką inwestycyą jest elektrownia miejska, która niebawem zacznie już spełniać swoje zadanie, a której celem oprócz wytwarzania elektryczności na potrzeby oświetlenia miasta t. j. ulic i placów, przez co Kraków choć w części zyska tak zwany „europejski wygląd“, jest dostarczenie taniego światła, zarówno prywatnym osobom, jak kupcom i przemysłowcom, a zwłaszcza tym ostatnim potrzebującym nie drogiej siły do poruszania motorów...

Gmach tej elektrowni wzniesiony przy ulicy św. Wawrzyńca, na parceli będącej własnością gminy, a prawie przylegającej do gazowni miejskiej, bardzo gustowny, choć architektonicznie całkiem pojedynczy jest już dawno pod dachem. Obecnie



Elektrownia miejska w Krakowie: Zakładanie przewodów elektrycznych w ulicy Starowiślnej.



Przed otwarciem sejmu: Klatka schodowa udekorowana na przyjęcie prezydenta ministrów dra Körbera. (Treść na str. 7).



Dr. Stanisław Głąbiński, poseł na Sejm z miasta Lwowa. (Treść na str. 19).

trwa jeszcze tylko praca nad zewnętrznem wykończeniem portalu i uporządkowaniem otaczającego budynek placu.

Wewnątrz także jest już prawie wszystko gotowe. Zmontowane obrzymie dynamomaszyny stoją cicho, spokojnie, czekając tylko chwili, gdy ręka maszynisty nakoniec w ruch je puści...

A tymczasem na mieście wre jeszcze gorączkowa praca przy zakładaniu przewodów elektrycznych. Na ulicach widać olbrzymie drewniane szpulki z nawiniętemi na nich różnej grubości linami. Zwalani ziemią i smołą robotnicy uwijają się w pocie czoła przy kopaniu rowów na przewody i układaniu ich.

A warto widzieć i wiedzieć jak szybkiem tempem i w jaki sposób odbywa się ta praca.

W wąski, mniej więcej metrowej głębokości rów, sypie się gruba warstwa suchego piasku, na którym spoczywa lina przewodowa. Po ułożeniu przewodu przykrywa się go drugą taką samą warstwą piasku, a następnie cegieł i praca jest już skończona! Rów z ukrytym już w nim przewodem zasypuje się ziemią wpierw wydobytą, brukarze układają znów płyty i... „chodzimy sobie po elektryczności, nie myśląc nawet o jej istnieniu!"...

W listopadzie elektrownia miejska zostanie już oddaną do użytku publicznego. Z tej okazyi i my będziemy musieli powrócić do tego tematu, to też wówczas podamy naszym czytelnikom reprodukcyę ukończonego już i pracującego urządzenia jej wewnętrznego. a dziś ograniczamy się jedynie do zamieszczenia ilustracyi, przedstawiającej zewnętrzny widok gmachu elektrowni i sceny zakładania przewodów elektrycznych w ulicy Starowiślnej.



Dr Ernest Körber, prezydent ministrów. (Treść na str. 13).



Przed otwarciem Sejmu: Front gmachu sejmowego wraz z częścią ogrodu miejskiego. (Do artykułu na str. 7).

Przed otwarciem Sejmu.

Jesteśmy w przededniu otwarcia tegorocznej zimowej sesyi naszego Sejmu. Zjadą się do Lwowa posłowie — pierwszego dnia odbędzie się solenne



Kazimierz Zielonka, dziennikarz.
(Treść na str. 18).

nabożeństwo w kościele archikatedralnym, poczem w sejmowej sali wygłosi inauguracyjną mowę pan marszałek krajowy, a imieniem rządu powita ławę poselską pan namiestnik, kończąc stereotypowem



Jan Noworyta, budowniczy.

przedstawieniem swego zastępcy, komisarza rządowego...

Po tem oficyalnem otwarciu, na drugi dzień, szereg posłów zgłosi się po... urlopy, które Sejm bez wahania uchwali i wreszcie rozpoczną się obrady.

Czy przyniosą one jaki skutek? Czy choć w części, bardzo drobnej części, zapobiegą tej nędzy, w której kraj cały tonie; czy urzeczywistnią choćby jeden z najbardziej żywotnych postulatów ludności?...

Zdaje się, że nie — że cała akcya Sejmu ograniczy się do nic nieznaczących uchwał, gdyż Sejm nasz w obecnym swym ustroju nie jest zdolny do jakiejkolwiek wydatnej pracy...

Na dowód, że nasze zdanie w tym kierunku nie jest bynajmniej odosobnionem, przytaczamy parę ustępów z uwag, jakie w „Przeglądzie polkim“ zamieścił znany polityk i historyk prof. dr. Michał Bobrzyński.

W artykule swym pod napisem „Z naszego sejmowania“ prof. Bobrzyński wprost pisze:

„Sejm nigdy żadnej sprawy gruntownie nie załatwi, bo posłowie albo się absentują, albo domagając się dłuższych sesyi od rządu, żądają od niego prywatnie, aby Sejm zamykał.“

A dalej tłumaczy prof. Bobrzyński niewydatność pracy sejmowej:

„Nienaturalny pośpiech obrad sejmowych ze wszystkiemi jego słabemi stronami, ma swe źródło przedewszystkiem w „porządku dziennym.“ Porządek obejmujący kilkadziesiąt spraw, uniemożliwia zapoznanie się z niemi, wytwarza presyę na każdego posła, aby milczał, wątpliwości nie podnosił, załatwienia spraw nie utrudniał...“

Czy w pięknym gmachu sejmowym, którego podobiznę dziś podajemy, zmienią się te stosunki prędko na lepsze? Czy posłowie uznając wadliwe strony swych obrad, postarają się je co rychlej usunąć i będą dążyć do wytworzenia warunków, w których zbożna praca byłaby wreszcie możliwa?...

To przyszłość pokaże, nawet niedaleka — to zobaczymy w czasie obecnej sesyi sejmowej.

Budowa kościoła św. Elżbiety
we Lwowie.

W tych dniach przystąpiono we Lwowie na olbrzymim placu Solarni, u zbiegu ulic Leona Sapiehy a Grodeckiej do budowy kościoła św. Elżbiety. Twórcą planów tej prawdziwie monumentalnej budowy, oraz artystycznym kierownikiem budowy jest architekt prof. Teodor Talowski, zaś inspicyentem budowy budowniczy Jan Noworyta. Inicyator budowy kościoła św. Elżbiety ks. Arcybiskup dr. Bilczewski oddał budowę kościoła inżynierowi Karolowi Richtmanowi który zobowiązał się wyprowadzić fundamenta kościoła w bieżącym roku pod cokół. Budowa kościoła trwać będzie przez 3 lata tj. do sierpnia 1907 r.



Kościół św. Elżbiety we Lwowie. Według planów architekty prof. Talowskiego.

Co do rozmiarów będzie kościół św. Elżbiety największym we Lwowie, a jak o tem świadczy rycina śmiało twierdzić można, że sztuka i architektura polska zyska w nowym tym kościele dzieło niepośledniej wartości, przynosząc chlubę twórcy i lwowskiej szkole politechnicznej, której



Prof. dr. H. Józef Kallenbach. (Treść na str. 13).



Prof. architekt Talowski.

uczniem a obecnie profesorem jest architekt Teodor Talowski.

Budowę rozpoczęto w sobotę dnia 25 września. Z tego powodu metrop. lwowski ks. arcyb. Bilczewski w asystencyi ks. kan. Ziemiańskiego i O. Wróblewskiego odprawił błagalne modły za powodzenie tego zbożnego przedsięwzięcia.

Poniżej podajemy portret genialnego twórcy planów kościoła św. Elżbiety i artystycznego kierownika budowy, prof. Teodora Talowskiego, oraz inspicyenta i technicznego kierownika budowy, budowniczego Jana Noworyty.

EDGAR ALLAN POE.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

I.

Wyrodna macocha.

Z zaciśniętymi pięściami rzuciła się Klara Sternegg. żona leśniczego, na swoją pasierbicę.

— Coś ty powiedziała żmijo?... że ja zdradzam mego męża, ja, która kocham go nad życie; ja którabym za żadne skarby świata nie złamała złożonej mu przed ołtarzem przysięgi?!..

— Twoja złość nie przekona mnie matko! — odrzekła spokojnie Hania Sternegg — to. co widziałam, co słyszałam....

— Milcz! milcz! krzyknęła blada jak trup macocha i ze zwrokiem pełnym nienawiści podeszła do młodego dziewczęcia. które stało spokojnie oparte o fotel, spoglądając z bólem i wstrętem na rozwścieklonę kobietę.

— Milcz! rozumiesz, milcz i pamiętaj, że biada ci, jeśli choć słówkiem wspomnisz przed ojcem o tych podłych oszczerstwach! Milcz, i pamiętaj, że powiem mu, jaką wdzięcznością płacisz mi za starania, za miłość. którą cię otaczam od chwili, gdym weszła do tego domu!...

Patrząc na te obie kobiety, każdy musiał odrazu zauważyć, szaloną różnicę i w ich zewnętrznym wyglądzie i w charakterze....

Klara Sternegg była to prawdziwie oślepiająca piękność, każdym swym szczegółem działająca na zmysły mężczyzn. Czarne jak heban lśniące włosy, okalały jej twarzyczkę o klasycznym owalu i regularnych jakby wyrzeźbionych rysach, których nawet złość, jaka ją ogarnęła, niezdołała zeszpecić. Matowa cera rozjaśniona parą ognistych czarnych oczu, których blask śmiało mógł rywalizować z ogniem brylantowej gwiazdy, wpiętej we włosy u czoła, pysznie odbijała od aksamitnej pąsowej sukni, kryjącej jej wspaniałą postać, podobną do posągów dawnych bogiń greckich. Wzburzona pełna pierś falowała szybko....

Jak piękność Klary w jej pełnym rozkwicie można było przyrównać do kwiatu rozwiniętej róży, tak Hania Sternegg swą wielką postacią i drobną bledziuchną twarzyczką ujętą w ramę jasnych jak len włosów, robiła wrażenie białej lilijki. Duże niebieskie oczy smętnie spoglądające w dal, świeżość i ten urok, jaki krasi każde dziewczę, które z poczwarki-podlotka lada chwila już będzie motylem-kobietą, dodawały jej ponęty i usposabiały dla niej życzliwie każdego....

Gniew macochy przerażał ją, łzy wyciskał z jej ślicznych oczu, a jednak nie myślała ustąpić. bo postanowiła bronić szczęścia swego ojca, który tę kobietę kochał jak szaleniec.

— Tak! — rzekła po chwili namysłu — to prawda, że od czterech lat zastępujesz mi matkę, moją ukochaną niezapomnianą matkę. ale pomimo to nigdy nie miałaś dla mnie cieplejszego słowa, serdeczniejszego uczucia!.. A w dodatku wciąż uważasz mnie za dziecko, myślisz, że jestem ślepa, że nie widzę, jak haniebnie zdradzasz mojego ojca!... Błagam cię, i zaklinam na wszystko, co masz najświętszego, zmień swe postępowanie póki czas jeszcze! Ach Boże! pomyśl, coby się stało, gdyby on, który ufa tobie tak ślepo, poznał nagle, jak depcesz jego miłość, jak lekceważysz jego szczęście!...

— A! dość już tego! — wrzasnęła Klara, trącając Hanię tak silnie, że ta zatoczyła się aż pod ścianę — dość tych kłamstw twoich podła dziewczyno! Wiem, że chciałabyś mnie z ojcem poróżnić, byś sama mogła łowić ryby w tej mętnej wodzie, ale to ci się nieuda ty faryzeuszko....

Hania łkając głośno, osunęła się na kolana przed macochą:

— Czy pamiętasz matko, kim byłaś, co dla ciebie zrobił mój ojciec? Wszak byłaś aktorką i to niejedną z tych, co świecą jak gwiazdy, ale taką sobie ot podrzędną... Pamiętasz, co mówiono o tobie, a jednak mój ojciec tak ciebie kochał, że nie wahał się dać ci swego uczciwego nazwiska!... A teraz ty....

Klara Sternegg zazgrzytała zębami.

— Tak! byłam aktorką, byłam nią i wiem że ty mi tego nie możesz wybaczyć purytanko! Ale ja już mam dość tych twoich kazań, łez i jęków. Marsz mi stąd w tej chwili, a pamiętaj słówko mi tylko piśnij przed ojcem, to dopiero wtedy poznasz kim jestem!...

Hania blada i drżąca, tłumiąc głośny płacz, którym już chciała wybuchnąć, wolnym krokiem udała się do swego pokoju, gdzie padła na kolana przed portretem swej nieboszczki matki. Straszny ból targał jej sercem. Wiedziała, że macocha zniesławiła nazwisko jej ojca, czuła, że to dopiero początek jej niecnych czynów.

Biedne dziewczę długo myślało, co ma w tym wypadku uczynić, czy milczeć, czy otworzyć ojcu oczy i całą tak sztraszną prawdę przedstawić w jasnem świetle.

Lecz na cóż by przydało się jej milczenie, skoro przecie ktoś inny prędzej czy później wprost powie o tem staremu Sterneggowi, a ma to zrobić obcy i w sposób brutalny, to lepiej będzie. jeśli ona sama w delikatny sposób uwiadomi go o tym ciosie....

Hania postanowiła bezwarunkowo powiedzieć ojcu prawdę, udowodnić mu, kim jest ta Klara, którą on tak kocha, a która niczem na taką miłość nie zasługuje.

* * *

Tymczasem Klara Steregg nerwowym krokiem przechadzała się po swym buduarze.

— Wszystko stracone! — myślała — tajemnica moja odkryta! Ta Hania, którą zawsze miałam za głupie niewiniątko, — wie wszystko, i zapewne nie skryje tego przed Sterneggiem..!

Rozpacz ogarnęła piękną kobietę. Tysiące najczarniejszych myśli przesuwało się przez jej głowę. W istocie. ona przecież jeszcze nie zgrzeszyła i śmiało mogła to dziś powiedzieć mężowi... A jednak czuła, że do grzechu tego nie bardzo jej daleko, że żyć nie może u boku tego starego człowieka, tak zresztą miłego i kochającego, bo serce jej w inną rwie się stronę.

W tej chwili do buduaru Klary wsunęła się cichym krokiem młoda służąca.

— Proszę pani — szepnęła cichutko — Janeczek znów chory i prosi aby pani do niego przyszła.

Wyraz lęku i obawy odmalował się na twarzy młodej kobiety.

Czemprędzej pospieszyła do drugiego pokoju, gdzie na małem dziecinnem łóżeczku wśród białych poduszek leżał mały chłopczyna w gorączce.

Na widok matki chłopak uśmiechnął się radośnie i wyciągając do niej drobne rozpalone rączęta zapytał:

— Tato! gdzie tato mamusiu?...

— Tatuś zaraz przyjdzie do domu dziecino — uspokajała synka Klara, głaszcząc go pieszczotliwie po główce — śpij, śpij Janeczku!...

— Nie mamo! nie! Janeczek nie będzie spać! — szeptał chłopaczek — mamusiu! nie odchodź...

— Dobrze! dobrze koteczku! poczekaj, przeczytam ci jaką bajeczkę...

To mówiąc Klara wzięła jedną z książek leżących przy łóżku chorego i zaczęła czytać:

...Była raz przecudna księżniczka, w której zakochał się piękny książę i wziął ją do swego wspaniałego zamku. „Tu będziesz żyć wśród przepychu królewskiego“ rzekł do niej. „A ty będziesz szczęśliwy“ i —

Do pokoju weszła znów służąca i podała pani Klarze mały liścik w eleganckiej kopercie z chińskiego papieru.

Klara nerwowym ruchem wzięła list i wskazując wzrokiem służącej, żeby się oddaliła, szybko przerwała kopertę.

— Co tatuś ci pisze? — pytał ciekawie malec, ale matka nie zwracała już nań uwagi. Ją interesował tylko ten list tajemniczy.

„Najdroższa“ — czytała z pospiechem — wreszcie nadszedł dzień tak upragniony przezemnie a tak długo oczekiwany! Twój mąż zabawi aż do jutra u księcia; skorzystajmy więc z tej dobrej sposobności! Przybądź zatem najdroższa między ósmą a dziewiątą do domku myśliwskiego nad jeziorem i uszczęśliw raz twego na wieki księcia Ferdynanda.

Rumieniec okrył matową twarz Klary. Spojrzała na swego synka i oczy jej spotkały się ze zdumionym niby pełnym wyrzutu wzrokiem malca. W jednej chwili zbladła, jak gdyby ją ktoś złapał na gorącym uczynku.

Lecz trwało to krótko. Otrząsnęła się z przykrego uczucia, które ją ogarnęło i zaczęła się zastanawiać, co ma uczynić.

— Dziś wieczorem! iść, czy nie iść?!... Boże! A jak się tak Sternegg o tem dowie? Hania mu powie, bo ona z pewnością się domyśli, dlaczego tak późno wychodzę z domu!..

Straszna walka wrzała w sercu pięknej kobiety, walka między szaloną namiętnością i dziką obawą.

Naraz przyszła jej na myśl bajeczka, którą czytała Jasiowi i zaczęła ją w duszy trawestować...

„Była raz piękna aktorka, którą uwielbiał młody bogaty książę. A leśniczy książęcy Sternegg, któremu śmierć zabrała pierwszą żonę, przyszedł i zakochał się w tym świetnym motylu... Aktorka Klara Hagen została niebawem czcigodną panią Sternegg!“...

— Mamusiu! mamusiu! — zajęczał Jasio, budząc się ze snu.

— Co ci to dziecino?...

— Och mamusiu! — skarżył się chłopczyna — widziałem teraz tę piękną księżniczkę! Książę wypędził ją z zamku i teraz biega biedaczka boso po lesie! Ale to nieprawda mamusiu!... Powiedz, przecie książę by tego nie zrobił...

— Naturalnie, że książę tego nie zrobi — uspokajała synka Klara — to ci się tylko śniło koteczku!... No, śpij dalej kochanie! śpij spokojnie...

Jasio przymknął oczy, a Klara zastanowiła się dalej:

— Iść, czy nie iść!...

— Pójdę!...

Szybkim krokiem przeszła do swego buduaru i zaczęła się ubierać. Zdejmując suknię, w gorączkowym pośpiechu nie zauważyła, że z kieszeni wypadł jej list księcia Ferdynanda. Zdradziecki list!...

Gdy w półgodziny potem strojna w jedwabną żółtą suknię spojrzała do lustra, serce jej napełniło uczucie zadowolenia.

Była piękną, porywająco piękną.

Nie namyślając się dłużej zarzuciła płaszczyk i wybiegła z pokoju.

W korytarzyku prowadzącym na ganek, natknęła się na Hankę.

— Jakto? więc ty naprawdę wychodzisz matko — spytało ją zdziwione dziewczę, które pewne było, że po ostatniej rozmowie macocha zawróci ze złej drogi – wychodzisz i zostawiasz chore dziecko, bynajmniej nie troszcząc się o nie?!...

— Wychodzę bo mi się tak podoba, a ty nie wtrącaj się do mnie i milcz! Pamiętaj, milcz, jeśli ci życie miłe!...

I pani Klara, nie zatrzymując się dłużej wybiegła na ganek i znikła w ogrodzie.

Tymczasem Hania smutna i zatrwożona chwiejnym krokiem udała się do pokoju Jasia.

Chłopczyna znów się przebudził.

— Mamusiu! złota moja mamusiu – majaczył w gorączce — nie opuszczaj Jasia! Nie odchodź! Twój Jasio taki biedny, taki chory! Tak piecze Jasia w gardle, a główka go tak boli, tak strasznie boli!...

Hania szybko podeszła do stołu i wziąwszy stojącą tam w szklance orszadę podała ją choremu dziecku.

— Napij się Jasiu, napij!... mamusia przyjdzie zaraz przyjdzie.

Tymczasem Klara Sternegg szybko zdążała przez ogród ku dróżce leśnej. na której miał ją oczekiwać powóz. Naraz serce zabiło jej jak młotem; stanęła jak wryta. Z za krzaków, jakby z pod ziemi wyrosła przed nią postać jakiegoś mężczyzny.

— Jestem zgubiona! Ta myśl przebiegła jej jak błyskawica przez głowę. Chciała uciekać, ale nieznajomy zagrodził jej drogę.

Klara przerażona spojrzała w jego rysy i nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Cienie przeszłości.

Posępnymi, smutnymi dźwiękami żałobnymi, obwieściły dzwony kościółka wiejskiego, że dziedzic wioski Bruno Adlersfeld umarł.

Ponad starym dworem otoczonym smutnymi grabami, powiewa czarna chorągiew żałobna na jesiennym wietrze, którą stary wierny sługa Bertold zatknął na szczycie wieżyczki.

W pokoju, którego okna wychodziły na park, klęczała nieszczęśliwa małżonka zmarłego przy katafalku. Sama jedna, z bezduszną powłoką cielesną swojego ukochanego męża załamuje ręce w niemej rozpaczy i żalu.

„O mój Boże! mój Boże! jęczała Matylda w strasznej rozpaczy, czemuś to uczynił? Dwadzieścia pięć lat przeżyliśmy szczęśliwie i tak się kochaliśmy bardzo! Ach! A oto teraz zesłałeś śmierć, która nas tak nielitościwie rozdzieliła. Niema już szczęścia mojego, niema go na zawsze!

A ten Ryszard nasze jedyne dziecko, duma swojego ojca, za którym w ostatniej jeszcze godzinie ojciec tak tęsknił bardzo — ach jakżeż Ryś zniesie ten straszny dopust Boży?

Ani się nie spodziewał, żeby śmierć mogła była przyjść tak nagle, spodziewa się on napewno, że jeszcze ojca zastanie przy życiu!

Ach nawet pożegnać się z nim już nie mógł. Boże Wszechmocny! Jakże strasznie dotknęła nas Twoja ręka — załkała żałośnie.

Ledwie wyszeptała te słowa, otworzyły się drzwi cicho, bez szelestu, i jak duch tajemniczy weszła do pokoju smukła, szczupła postać niewieścia w czarną suknię ubrana. Twarz jej osłaniał gęsty czarny welon, z poza którego błyszczała para czarnych oczu. Powoli zbliżyła się tajemnicza postać ku katafalkowi, spojrzenia jej zatrzymały się na zmarłym, i nagle stanęła, jak wryta.

Matylda zerwała się przerażona, z dziwną obawą patrzała na obcą i drżącym głosem zapytała wreszcie:

— Czego sobie Pani życzy?

Obca podniosła welon w milczeniu, a Matylda zobaczyła twarz smutną, o surowych zgorzkniałych rysach, tak zimną i groźną zarazem w swoim wyrazie, że po nieszczęśliwej dreszcz przeszedł.

— Wszechmocny Boże! zawołała nagle w panicznym strachu. — Czyż zmarli z grobów powstają? — Czyś to ty Izabello?!

Drżąc na całem ciele rzuciła się na krzesło i jakby szukała opieki i pomocy u swojego zmarłego męża wpiła się kurczowo ręką w jego ramię.

— Tak, jestem Izabella — piękna niegdyś Izabella Kronberg. Poznajesz mnie więc znowu Matyldo po dwudziestu pięciu latach? mówiła obca w ironicznym zimnym tonie.

— Tak, rzekła wskazując palcem na katafalk — nie widzieliśmy się od czasu, kiedyś mi tego tu oto zabrała. Tego, zawołała — za którym więcej łoz wylałam, niż ich Ty przez cały czas twego wdowieństwa wylać zdołasz. Oczy jej nabrały w tej chwili jakiegoś złowrogiego nienawistnego wyrazu.

— O Izabello, jak możesz mówić tak strasznie w tej chwili, przy tych zwłokach?

Wtedy smukła, czarna postać powstała, oczy jej poczęły rzucać błyskawice, a twarz nabrała tryumfującego wyrazu.

— Że on nie żyje, to satysfakcya dla mnie. Gdyby on żył jeszcze, nie byłabym do ciebie przyszła. Sądziłaś pewno, że dawno już nie żyję, ha, ha, ha! zaśmiała się szyderczo. Aniś przypuszczała, że ja tu mieszkam w pobliżu samotna, czekając na tę godzinę. Tak, tam na pagórku w leśniczówce mieszkam, a gdy zobaczyłam z mojego okna żałobną chorągiew na dachu, wiedziałam, że przyszła godzina, godzina zemsty!

— Boże litościwy! Zmiłuj się Izabello — jęczała Matylda w przerażeniu. Zemsta? Czemu chcesz się mścić na mnie?

— I ty się pytasz jeszcze? Czyś już zapomniała o tem, żeś mi niegdyś we wstrętny sposób skradła miłość tego człowieka. Do mnie on należał, kochałam, ubóstwiałam go — a wtedy przyszłaś ty, jak wąż oplotłaś go swymi splotami i usunęłaś mnie z jego serca. Przy jego boku napawałaś się szczęściem, które mnie się należało!

— Izabello, przysięgam ci, że mi straszną wyrządzasz krzywdę. Ten oto ukochany zmarły niech mi będzie świadkiem. Tyś do niego należeć nie mogła, ponieważ...

— Ponieważ nie byłam szlachcianką jak Ty?! Tak jest, wiem o tem dobrze. Ale to nie odstraszyłoby go było wcale. Nie, to twoje kokieteryjne sztuczki zabrały mi człowieka, którego niegdyś tak bardzo kochałam. Ale czyś Ty miała pojęcie przez jakie męki ja przeszłam skutkiem jego niewierności, na jakie straszne upokorzenia i hańbę byłam narażoną — o tem wszystkiem ty nie wiesz.

Ale teraz go straciłaś. Teraz powinnaś wiedzieć, co znaczy stracić na zawsze człowieka, do którego serce przywiązane jest wszystkiemi fibrami. To mogłoby wyrównać rachunki między nami. Ale za ohydną zdradę, za męki bezgranicznej zazdrości, jakie przez ciebie wycierpiałam, za to, że zniszczyłaś szczęście mojego życia, za to wszystko zemszczę się teraz na tobie! Teraz cię zniszczę i rzucę w otchłań nędzy i zwątpienia, tak, jak to zrobiłaś ze mną, i postąpię tak z tobą i z twoim synem, z twoim ulubieńcem, którego tak samo nienawidzę straszliwie, jak ciebie! — I Izabella przystąpiła z temi słowy ku Matyldzie, drżącej jak liść osiki i nie mogącej słowa przemówić i z demonicznym tryumfem mówiła dalej.

— Tak! Straszne zwątpienie niech cię ogarnie, przeklinać będziesz dzień, który cię niegdyś zetknął z tym oto umarłym, dzień w którym stałam się nieprzebłaganym twym wrogiem. Wykupiłam wszystkie weksle twojego męża. Do mnie tutaj wszystko należy. Skoro tylko zmarły spocznie w grobie, wyrzucę cię wraz z twoim synem bez litości z tego domu, w którym spędziłaś najszczęśliwsze godziny swojego życia. Na żebry pójdziecie i u drzwi płakać będziecie w nędzy i błagać o kęs suchego chleba!

— O mój Boże! krzyknęła Matylda i padła zemdlona na fotel, podczas gdy Izabella szybkim krokiem wyszła z pokoju.

W tejże chwili odezwały się szybkie kroki na korytarzu.

Drzwi otworzyły się raptownie i do cichej komnaty żałobnej wpadł młody człowiek, blady, ze śladami strasznego zdenerwowania na twarzy.

— Matko, o moja dobra, kochana matko!

Na dźwięk tych słów, nieszczęśliwa kobieta zerwała się nagle i po chwili zwisła łkając na ramionach syna.

Najstraszniejsza żałość i największa radość.— Oboje są niemi. Straszne nieszczęście, jakie ich dotknęło, zamknęło im wargi. Łkanie rozdzierające serca wyrwało się jeno z ich piersi i przez chwilę matka i syn trzymali się w objęciach, tak jakby jedno drugie chciało wesprzeć w tej strasznej godzinie życia. Wreszcie wyrwał się Ryszard z objęć matki i wybuchnąwszy płaczem rzucił się na katafalk.

— Za późno! Mój Boże! Przybyłem za późno, żalił się łkając. — O mój drogi kochany ojcze, odszedłeś odemnie, a ja nie mogę popatrzeć w twe dobre, poczciwe oczy. Odszedłeś odemnie, zanim mnie mogłeś pobłogosławić na drogę życia, mnie, swoje dziecko jedyne! Ach, tylko zimną twoją rękę mogę ująć w swe dłonie, ale ty tego już nie czujesz, ty już słów moich nie słyszysz. Już nigdy wargi twe nie wyszepną dla mnie dobrego słowa, Niemy jesteś na zawsze. O Boże! Na zawsze cię straciłem mój ojcze!

Ryszard, nadzieja i duma rodziny kończył swoje studya agronomiczne w stołecznem mieście, gdy nagle jak piorun spadła na niego żałobna wieść o ciężkiej chorobie ojca, powołując go do domu.

Siedział więc teraz przy trumnie ze swoją matką złamaną żalem, a skoro minęło świeże wrażenie nieszczęścia, poczęli oboje myśleć o swojej przyszłości. Ryszard wiedział, że dobra jego ojca mocno były zadłużone. Nie z winy jego ojca, o nie! Ciężary z czasów dawniejszych jeszcze się powiększyły i z biegiem lat wzrosły mimo największej oszczędności, jaką się zmarły kierował.

— O mój drogi Ryszardzie — rzekła strapiona matka — grozi nam straszna przyszłość. Jeszcze większe dotknie nas nieszczęście, niż śmierć twojego dobrego ojca. Ach mój Boże! Serce kraje mi się z żalu, kiedy pomyślę o twojej przyszłości biedne moje dziecko — wołała ze łzami. I jeszcze straszniejszą rzecz zatailabym przed tobą, gdyby to było możliwe. Ale już jutro się dowiesz, że jesteśmy żebrakami!...

— Na miłość boską! To niemożliwe mamo — krzyknął Ryszard w śmiertelnym strachu. Tak strasznem przecież położenie nasze być nie może!

— A jednak tak — biedny mój Ryszardzie — i matka opowiedziała słuchającemu synowi scenę z Izabellą.

— Ach niema już żadnej nadziei — zakończyła z rezygnacyą.

— Ta straszna kobieta nie zna litości, i tak, jak groziła wyrzuci nas nielitościwie z domu! Skądże bowiem mamy wziąć pieniędzy, żeby nasz majątek od niej odkupić.

— O mamo! zawołał przerażony — cóż to za kobieta? Jakiem prawem można tak straszliwie postąpić? Jakiem prawem chce ona się mścić na nas tak bez litości?

— Słuchaj mnie mój kochany synu! Bez obawy mogę ci w obliczu twojego zmarłego ojca wyjawić tajemnicę, którą dotychczas przed tobą ukrywaliśmy, gdyż na niego żadna z tego powodu nie spadnie hańba.

Więcej, niż dwadzieścia pięć lat temu poznał twój ojciec, jako młody oficer, bardzo wtedy uwielbianą i olśniewająco piękną śpiewaczkę Izabellę Kronberg. Zaplątała ona ojca twojego, jak wielu kawalerów naówczas w swoje sieci, a umiała przykuć do siebie na dłużej. Wreszcie zerwał z nią nagle. Ona go jednak puścić od siebie nie chciała. Ojciec twój wziął z wojska dymisyę i usunął się tutaj, w zacisze swego majątku ziemskiego.

Izabella poszła jednak za nim i zażądała, aby się z nią ożenił. W dzień ślubu naszego z twoim ojcem zjawiła się tutaj nagle i zażądała, żebym z ojcem twoim w ostatniej chwili zerwała, grożąc mi w razie przeciwnym straszliwą zemstą, gdybym poślubiła człowieka, którego ona — jak twierdziła, szalenie kocha.

Potem nagle zniknęła i krążyły wieści, że gdzieś na obczyźnie umarła. A oto teraz zjawia się nagle straszliwą żądzą zemsty przejęta. Nie zapomniała jeszcze tego dotychczas. W ciągu lat dwudziestu pięciu nienawiść jej nie wygasła, ale owszem bardziej się jeszcze spotęgowała, a jedyną myślą tej strasznej kobiety jest dokuczenie nam za wszelką cenę.

— Ach mamo — wyszeptały drżące wargi Ryszarda. — Jeżeli ta pani rzeczywiście nie zna litości, to i ja muszę się wyrzec wszelkiej nadziei, co do Hani Sternegg, bo przecież leśniczy panującego księcia nigdy by nie wydał córki swojej za żebraka!

— O mój biedny, biedny Ryszardzie, zawołała z płaczem matka obejmując rękoma szyję swego syna z bezbrzeżnym żalem. To jest właśnie najstraszniejszym ciosem. Ubóstwo i nędzę znosiłabym z tobą chętnie, ale że jedyne szczęście twoje w gruzy ma się rozsypać, to na tą myśl serce mi się kraje z żałości.

— Ach wiem przecież dobrze, jak gorąco kochasz Hanię i jak to dobre dziecko serdecznie do ciebie jest przywiązane. Oboje będziecie nieszczęśliwi, bezgranicznie nieszczęśliwi, skoro wybije dla was godzina rozłąki!

Ryszard skinął w niemem zwątpieniu. W coraz posępniejsze barwy przyoblekał się obraz jego przyszłości, nie widział ratunku, ani nadziei znikąd.

— Nie tracę jeszcze zupełnie nadziei — odezwał się po chwili pewnym tonem. Musimy próbować, odwrócić od siebie grożące nam nieszczęście, ja sam pójdę do tej strasznej kobiety i poproszę o względy i cierpliwość z jej strony.

— Na miłość Boską Ryszardzie, nie oddawaj się złudnym nadziejom. Upokorzyłbyś się tylko napróżno. Izabella Kronberg z ironią i wzgardą pokaże ci drzwi swojego mieszkania

— A chociażby dlatego — odparł ze szlachetną prostotą. — Mimo to chcę pójść do niej i to teraz zaraz.

Winien to jestem tobie matko i sobie samemu. Nie mogę żadnej drogi pominąć, aby nas ocalić od grożącej nam ruiny!

Wczesny zmierzch wieczorny zapadać począł, gdy Ryszard opuścił progi ojcowskiego domu i udał się w drogę ku leśniczówce Izabelli. W kwadrans był już na miejscu.

Była to stara dwupiętrowa budowla, wywierająca nadzwyczaj nieprzyjemne wrażenie swymi nagimi, szarymi murami. Budynek stał samotny w otoczeniu gęstego lasu. Naokoło panowała głęboka cisza przerywana tylko niekiedy poświstami jesiennego wiatru, który jęczał przeraźliwie i szalał po bezlistnych konarach drzew. Czasem rozległo się krakanie, albo krzyk drapieżnego ptaka! Ryszard pociągnął za zardzewiały trzonek od dzwonka, i rozległ się przeraźliwy odgłos dzwonienia po ogrodzie. Minuty upływały za minutami. Wreszcie uchyliła się furtka obok wielkiej bramy wjazdowej, z poza której ostrożnie rozglądać się poczęła głowa kobieca, okryta chustką. Ryszard zauważył pod chustką starą szkaradną twarz, o grubych odpychających ostrych rysach, jastrzębim nosie, z chytremi świdrującemi małemi oczkami, które mierzyły go nieufnie. Rude włosy wystawały z poza chustki w bezwładnych kosmykach i nadawały twarzy wyraz czarownicy. Kobieta ta była gospodynią a zarazem jedyną służącą Izabelli i w całej okolicy znana była i osławiona pod przezwiskiem „czerwonej Maryny“. Każdy bowiem chętnie ustępował jej z drogi. Jeden tylko Ryszard nie znał Maryny a jednak zdawało mu się, że ją już gdzieś, kiedyś musiał widzieć. Widok jej przypomniał mu pokojówkę Ochmistrzyni Sternegg, która jak dwie krople wody podobną była do „czerwonej Maryny“.

Ryszard nie wiedział naturalnie nic a nic o tem, że Róża była córką „czerwonej Maryny“. Skoro Ryszard wyjawił swoje życzenie, poproszono go, aby wszedł. „Czerwona Maryna“ zaczęła chichotać, nadzwyczajnie z czegoś zadowolona i troskliwie zamknęła za sobą bramę.

Potem idąc przed nim zaprowadziła go na schody i wpuściła go do komnaty, której drzwi zaraz się za nim zamknęły.

Był to duży pokój oświetlony lampą pokrytą zielonym abażurem. Obok stołu na którym stała lampa, siedziała Izabella — a rysy jej twarzy były tak samo posępne i ostre, jak wtedy, kiedy stała przed matką Ryszarda. Młody człowiek patrzał na smukłą czarną postać z wyrazem jakiejś ciekawej obawy. Wreszcie spostrzegł, że czas wyjawić cel tak spóźnionej wizyty.

— Łaskawa Pani — rzekł Ryszard miękkim, łagodnym głosem. — Matka moja opowiedziała mi o wizycie pani w naszym domu i o Jej wrogim wobec nas zamiarze. D. c. n.

Admirał Withöft.

Port Artura, opasany dokoła przez Japończyków tak od strony morza jak od strony lądu, lada dzień musi się poddać albo też zostanie zdobyty, bo o tem, aby jenerał Kuropatkin zdołał mu przyjść z odsieczą, mowy nawet być nie może, gdyż całą swą uwagę musi skupić na operacye lądowe armii, stojących pod wodzą marszałka Oyamy.

Jenerał Stössel, komendant tego straconego posterunku, jakim w obecnem położeniu jest twierdza portarturska, odczuwa dobrze, jaka przykra przyszłość czeka go na tym punkcie i wszelkich sił dokłada, aby gdy już nie może wyjść obronną ręką z tej walki, uratować przynajmniej to, co da się uratować.

Flota rosyjska w Porcie Artura, blokowanym przez eskadrę admirała Togo, w razie zajęcia Portu musiałaby wpaść w ręce Japończyków. Byłby to dla przeciwnika łup bogaty, więc też jenerał Stössel postanowił bądź co bądź, jeśli już nie całą, to chociaż część jej ocalić.

Flota rosyjska otrzymała więc rozkaz przerwać blokadę japońską i przebić się do portu władywostockiego, a dnia 10 sierpnia komendant floty admirał Withöft przystąpił do wykonania rozkazu...



Admirał Withöft.

Zaledwie rosyjskie okręty opuściły wewnętrzną przystań, admirał Togo zaatakował je z całą gwałtownością.

Działa japońskie w pierwszej linii obrały sobie za cel pancernik „Cezarewicz", na którym powiewała flaga admiralska Withöfta...

Po krótkiej walce z „Cezarewicza" rozległ się sygnał: „Komenda przechodzi na admir. Uchtomskiego".

Granat japoński, pękając na pokładzie „Cezarewicza", rozdarł pierś admirała Withöfta, jednego z najdzielniejszych marynarzy rosyjskich po nieboszczyku admirale Makarowie, który także zginął pod Portem Artura, lecz w bardziej tragiczny sposób, bo nie od kuli nieprzyjacielskiej, lecz od własnej miny podwodnej, na którą okręt jego najechał.

„Czerwony Krzyż" na dalekim Wschodzie.

Na ziemi mandżurskiej dzień w dzień krew leje się strumieniem i dzień w dzień na polach bitew rozlega się bolesny jęk rannych i przedśmiertne charczenie konających.



Pociąg sanitarny rosyjskiego „Czerwonego Krzyża" wraz z personalem lekarskim i służbowym.

Z obu stron w boju nikt niema litości dla przeciwnika, z obu stron używają wszystkiego, co tylko ludzkość zdołała wymyśleć celem niesienia śmierci i zagłady; z obu stron wytężają wszystkie siły, byleby tylko masowy mord przyniósł jak najobfitsze żniwo, a przytem z obu stron z jednakową gorliwością starają się swym rannym nieść pomoc i ratunek...

Dziwna gmatwanina pojęć i uczuć ludzkich!

Z jednej strony z lekkiem sercem rzuca się na rzeź tysiące młodych, zdrowych, pełnych nadziei obywateli— z drugiej strony nie pomija się żadnego wysiłku, by ratować niedorżniętych w boju skazańców... A obu wojującym stronom przyznać trzeba, że nie szczędzą grosza tak publicznego, jak prywatnego, by tylko przynieść ulgę rannym.



Pociąg sanitarny wysłany na plac boju przez carową wdowę Maryę Teodorównę.

Dziś chcielibyśmy wspomnieć o instytucyi rosyjskiego „Czerwonego Krzyża". Jeśli mamy wierzyć temu, co wojenni korespondenci francuskich i angielskich pism donoszą, to rosyjski „Czerwony Krzyż", dzięki państwowej i prywatnej ofiarności, swoje zadanie miłosiernego Samarytanina spełnia tak, że chyba nic do życzenia nie pozostawia. — A „Czerwony Krzyż" rosyjski rozporządza takiemi środkami, o jakich przeciętny śmiertelnik niema nawet pojęcia. Dość już, gdy nadmienimy, że samo miasto Moskwa na cele jego złożyło dziesięć milionów rubli! Gdy tylko wojna wybuchła, carowa-wdowa Marya Teodorówna własnym sumptem wystawiła specyalny pociąg do transportu rannych, zaopatrzony tak w leki, jak w doborowy personal sanitarny i wysłała go na plac boju.

W głębi kraju wzdłuż całej linii kolejowej syberyjskiej wznoszą się polne szpitale, dokąd pociągi „Czerwonego Krzyża" zwożą rannych z Mandżuryi. Jedną ręką niesie się im pomoc i wyrywa śmierci po to tylko, aby drugą rzucić ich znów w jej chłodne objęcia... Dziwną logiką jest logika wojny!...

Wraz z artykułem tym podajemy naszym Czytelnikom podobiznę wspaniałego pociągu sanitarnego carowej-wdowy i pociągu „Czerwonego Krzyża", wraz z jego personalem lekarskim i służbowym. Oprócz tego, zamieszczamy także fotografię szpitalika polnego w Charbinie.



Szpitalik wojskowy w Charbinie.

Cichy spokojny na zewnątrz szpitalik, fotografowany na rozkaz. Przed nim żołnierze wyciągnięci jak struny z „przyjemnemi minami" jak tego zwykle żąda fotograf... Uśmiecha się nawet, choć może przez łzy, syberyjski piechur z obandażowaną głową... Wszystko to na pozór takie ładne, tak bawi oko widza... Bawi, bo fotografia nie oddaje tych strasznych scen, jakie odgrywają się w jego wnętrzu. Nie widzimy tych krwawych operacyi, tych młodych niegdyś pełnych sił i zapału ludzi, pasujących się ze śmiercią, nie słyszymy ich skarg i jęków; do uszu naszych nie dolatuje ostatnia modlitwa i ostatnie przekleństwo konających... Na fotografii, to taki miły, cichy, spokojny szpitalik!...



Kronika tygodniowa.

Coś niby „słowo wstępne“. — Defraudacye w Towarzystwie kredytowem przemysłowców i rękodzielników. — Ich małomieszczański charakter. — Przyszłe kierownictwo teatru miejskiego. — Konieczność rychłego ogłoszenia konkursu. — Wystawa metalowa.

Dyabelskiej pamięci Asmodeusz biorąc się do kreślenia swoich szatańskich kronik, zdejmował naprzód dachy z kamienic madryckich i zaglądał bez ceremonii do ich wnętrza, aby następnie opisywać co robią, myślą i czują ludzie, w nich zamieszkujący. Sposób, jak na XVIII stulecie był wcale dobry, nie na wiele jednak przydałby się dzisiaj w XX. Człowiek nowoczesny, a przedewszystkiem Krakowianin, najczęściej nic nie robi, a bardzo rzadko gości w gnieździe rodzinnem, przypatrywać mu się więc i przysłuchiwać z „góry“ byłoby próżną stratą czasu. Każdy, o ile mu środki własne lub przywłaszczone na to pozwalają, urządza sobie jedwabne życie w taki sposób, aby nie siedzieć ani w biurze, ani w „interesie“, ani w mieszkaniu. Kręci się po całem mieście; bawi wszędzie i nigdzie. „Tu jest, tu go niema!“ jak w czarodziejskich puszkach i skrzyneczkach Ben-Ali-Beja, który wkrótce ma znowu popisywać się u nas swemi kuglarskiemi sztuczkami, wykonywanemi w dziesięciu zwinnych palcach, przy ukrytej w kulisie interwencyi duchów opiekuńczych. Sztuczki te, chociaż stare, cieszą się zawsze powodzeniem.

Wieczorem dopiero, po coraz krótszym dniu jesiennym, gdy srebrna Dyana, otulona płaszczem z chmur popielatych, wysuwa się na szary firmament, wszyscy Krakowianie gromadzą się w gościnnych lokalach Hawełki, Wentzla, *e tutti quanti*, gwoli wypoczynku po trudach mozolnego próżnowania. Wtedy to, bacząc na potrzebę zaspokojenia dokuczliwego pragnienia, „siedzą“ wytrwale kilka, a nieraz i kilkanaście godzin przy marmurowych stolikach, na których w grubych szklanych kuflach pieni się koloru ciemnego topazu nektar gambrinusowy. Zbici są wówczas w tłum, tak jednolicie łaknieniem przejęty, że obserwator, zaglądający do sali, przez uniesiony w „górę“ sufit, mógłby chyba zauważyć i zdać sobie sprawę z fizycznej charakterystyki „zespołu“, nie zaś z poszczególnych znamion psychologicznych tych i owych osobników. Rozprawiają oni wprawdzie głośno, niekiedy nawet hałaśliwie, cóż kiedy myśli i czucia chowają na dnie najniższych głębin duszy, gdzieś aż w jej piwnicach, pod suterenami, parterowem, pierwszem, drugiem, a czasem i trzeciem piętrze hipokryzyi i blagi.

Kronikarz, któryby chciał je wywlec z pod nor ciemnych na biały papier i podzielić się z czytelnikami wywołanemi przez nie wrażeniami, musiałby naprzód, posiłkując się nowoczesnym wynalazkiem, oświetlić jamy piersiowe ich właścicieli, promieniami Roentgena. Eksperyment kosztowałby jednak za drogo — i kto wie, czyby nie rozsadził wątłych ram „kroniki tygodniowej“... więc chwilowy „zastępca“ stałego felietonisty *„Nowości illustrowanych“* wyznaje skruszony, że nie może szarpnąć się na tak znaczny wydatek, zrzeka się pokątnego zamiaru wydobywania z serc ludzkich kronikarskiego materyału i skromnie zaczyna notować lub omawiać miejskie sprawy bieżące, wysuwając na początek najjaskrawsze, a raczej takie, które w danym momencie najbardziej interesują.

* * *

Do nich należy smutny, a psychicznie niezmiernie ciekawy, rozgrywający się obecnie w sądzie dramat kryminalny o defraudacye w Towarzystwie kredytowem przemysłowców i rękodzielników krakowskich. Przeciągnie on swój sensacyjny wątek prawdopodobnie dość długo, dotąd bowiem nawet główny obwiniony nie został wyczerpująco przesłuchany. Jakkolwiek podobny do wielu dawniejszych, jak galicyjskich, jak zagranicznych, o których nasłuchaliśmy się niemało, a naczytali w dziennikach jeszcze więcej, nosi na sobie pewną wyłączną cechę, jakiej nie spostrzegaliśmy jeszcze ani razu w innych tego rodzaju procesach, obejmuje bowiem prokuratorskiem oskarżeniem pokaźną liczbę przestępców z jednej i tej samej, dotąd uważanej za najuczciwszą sfery społecznej i sięgać się zdaje początkiem złego w odległą przeszłość instytucyi.

Zdawać się może, że małomieszczański świat pracujący, który ją stworzył na swą wyłączną potrzebę, pozbawiony jest zupełnie wszelkiego etycznego poczucia solidarności w własnych, materyalnie najżywotniejszych interesach, od razu bowiem, niemal każdy dostający się do zarządu wszczepiał w nią zarazę przeniewierstwa, którą doprowadził w końcu do pełnego i udoskonalonego rozwoju człowiek (na szczęście) z obcem nazwiskiem, dominujący nad naiwną rzeszą inteligencyą i fachowemi wiadomościami. W gęstem błocie nieraz niezręcznie manipulowanego oszustwa i kradzieży, usuniętej z pod wszelkiej kontroli, babrali się kierownik po kierowniku, łączący chciwość z hulaszczem życiem nad stan, które, jak dotąd, było wyłączną specyalnością klasy szlacheckiej. Ale zepsucie nowoczesne jednoczy niestety wszystkie stany w jedno zaczarowane koło moralnego upadku, z którego raz nareszcie karcąca śmiało i surowo opinia publiczna wyprowadzićby nas powinna.

* * *

Drugą sprawą na dobie, zajmującą żywo umysły, jest sprawa przyszłości naszego teatru. Wszyscy zgadzają się jednomyślnie, że takim, jakim był w ciągu ubiegłych lat pięciu, być dalej nie może, był bowiem zły i źle prowadzony. Zdanie to podzielają równie ci, którzy dotychczasową, tak materyalną, jak moralną gospodarkę teatralną, głośno potępiają, jak ci, którzy milczą, albo półgębkiem chwalą, sądząc, że instytucya sama, jako instytucya, na ostrej krytyce ucierpieć może. Mniemanie takie jest błędne. Odpowiada na nie rozum ludu znanem przysłowiem: „Dłużej klasztora, niż przeora“. Troszcząc się zatem o dobro sceny narodowej, należy bezstronnie, lecz sprawiedliwie oceniać działalność dyrekcyi, dzięki Bogu już prawie minionej, a równocześnie starać się, aby przyszłe kierownictwo nie dostało się w niepowołane ręce. Na szczęście, między kandydatami, ubiegać się mającymi o teatr krakowski, są ludzie odpowiadający najsurowszym wymaganiom, którzy wykazując przed kim należy swe środki finansowe, mogą zarazem intelektualne także kwalifikacye swoje poprzeć chlubnemi świadectwami opinii publicznej i prawdziwych znawców.

Rada miejska, której niezawodnie chodzi bardzo, aby teatr nasz stał na wyżynach sztuki, a jako jedna z silnych atrakcyj lokalnych przyciągał do starego grodu współziomków z innych dzielnic Polski, powinna, o ile się da najśpiesznie‌j ogłosić konkurs, bo nawet najmajętniejszy i najzdolniejszy dyrektor, musi mieć przecież dość czasu, aby przygotować się do objęcia przedsiębiorstwa, wymagającego wyszukania, zebrania i ugrupowania w artystyczną całość wyborowego personalu, oraz rychłego zaopatrzenia się w to wszystko, co stanowi bogactwo tła scenicznego w nowoczesnym teatrze. Doświadczenie, nabyte w pięcioletnim okresie czasu, wskaże niezawodnie ojcom miasta właściwy i odpowiedni wybór. Przypuszczać się godzi, że nie dadzą się już olśnić fałszywymi blaskami zarozumiałości bez granic... przepraszam, chciałem powiedzieć: artystycznej miłości własnej... aktor bowiem, nawet istotnie utalentowany, o ile pragnie grywać i sam grywa jeszcze, nie może być dobrym dyrektorem teatru. Rzecz wszędzie wielokrotnie stwierdzona i nie potrzebująca dowodzenia. Co nie przeszkadza wcale, aby aktor inteligentny i po literacku wykształcony, który raz na zawsze wyrzekł się popisów scenicznych, nie zdołał spełniać obowiązków kierownika teatralnego rozumnie, starannie i należycie.

* * *

Zainteresowanie się wystawą metalową szerokich kół miejskich i wiejskich świadczy wymownie, że tego rodzaju specyalne ekspozycye, o ile są sumiennie i w właściwej porze urządzone, mogą liczyć nietylko na zasłużone uznanie, lecz także i na powodzenie. Codziennie niemal wita zarząd wystawy, już przeszło miesiąc otwartej, jakąś wycieczkę zbiorową zainicyowaną to przez jedno ze stowarzyszeń zawodowych, to przez szkoły i zakłady przemysłowe. Bywają dnie, zwłaszcza pogodne, w ciągu których cyfra przybyszów dosięga dwóch tysięcy. W ubiegły piątek gościł na niej czas dłuższy radca ministeryalny z ministeryum handlu, p. Müller, który przybył do Krakowa w sprawie majsterskich kursów stolarstwa. Nazajutrz zwiedzali ją uczniowie szkoły przemysłowej wydziału mechanicznego oraz dekoracyjnego, pod przewodnictwem swoich profesorów. W niedzielę rano zaroiła się od górnoślązaków-przemysłowców z Bytomia, a w południe zapełnili ją członkowie Towarzystwa pomocy przemysłowej z Bochni. Dziś ukażą się tamże uczniowie gimnazyum bocheńskiego. Słowem, całe społeczeństwo nasze, rozumiejące potrzebę uprzemysłowienia biednego i wyzyskiwanego kraju, garnie się do jej pawilonów życzliwie, a skąpi zwykle w pochwały Warszawiacy, gdy chodzi o Galicyę i jej rzeczywiście nieraz nadludzkie usiłowania stworzenia u nas dobrobytu, wyrażają się o obecnej, krakowskiej wystawie metalowej z gorącemi pochwałami.

Daj Boże! aby przyniosła znaczne korzyści i zachęciła przemysłowców, tudzież rękodzielników naszych do wydatnej, złotodajnej, a konsekwentnej pracy.

Zastępca.

Z pieśni starego Trubadura.

Rycerzy sławnych, dzielnych trzech,
A znanych wkrąg z pragnienia,
Zaprosił czwarty rycerz chwat
Na ucztę w dzień imienia.

I gościom wino do ich kruż
Wciąż pani zamku lała —
W tem pantofelek spadł jej z nóg,
Tak nóżka była mała.

Więc pierwszy rycerz podjął go
Napełnił winem rączo:
„Niech usta moje wino to
„Za zdrowie twe wysączą!“

I drugi, biorąc przykład zeń,
W pantofel nalał wino:
„Niech wszystkie krople na twą cześć
„Dziś w gardło moje spłyną!“

Lecz trzeci rycerz waha się...
Pantofel wzrokiem mierzy,
Pantofel mały, tyćki o!...
I chwyta za dzban świeży:

„Pantofel zacna pani weź
„I wdziej go znów na nogę!...
„Tak małym haustem na twą cześć
„Toastu wznieść nie mogę!...“

Sfinks.

Kącik humorystyczny.

— Ty Adaś, powiedz-no mi, co to jest: **„Nie je, nie pije, a chodzi i bije?“**

— Phi — jeszcze byłem dzieckiem, jak mi takie zagadki zadawano! Cóż innego jak nie zegar?

— A widzisz, że nie, bo to jest nauczyciel ludowy w Galicyi.

* * *

— Czemu mi pani, panno Adelo, nie chce wierzyć, że ja mam względem pani poważne zamiary?

— Ach, mój Boże, bo pan tak komicznie wygląda!...

* * *

— Panie doktorze, potrzebuję pięć sztucznych zębów, ale na raty.

— Ale z przyjemnością! Będę pani wstawiał przez pięć miesięcy, każdego miesiąca po jednym.

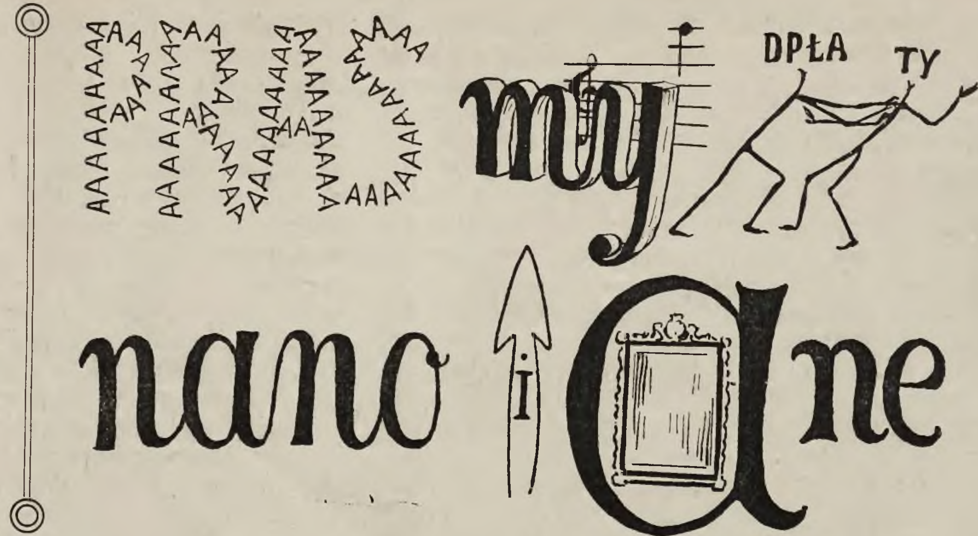
* * *

Służący (wyglądając oknem): O, jedzie pacyent pana doktora!

Doktor: Powiedz, że o tej godzinie nie przyjmuję.

Służący: Kiedy proszę pana, on jedzie **na** karawanie...

Zagadki do nagrody



Szarada.

Niejednego, co był już niby *trzecia czwarta*,
Całość nieraz porządnie na grubego spasła;
Dziś mówi on, że zacność nie jest wiele warta,
A *czwarta pierwsza trzecia* to nie jego hasła...
Lepiej, gdy *druga trzecia* pas otoczy biodra,
Chociaż sumienie nieraz rzuca w *pierwsza trzecia;*
Za *czwarta trzecia całość* bywa czasem szczodra,
Lecz ów przez nią wzbogacon — wart zazwyczaj śmiecia...

Łamigłówka geograficzna.

Ka – ra – a – i – o – wi – al – wa – a – so – tor – li – dzi – der – sel – a – sent – ba – gram – pe – ko – to – for – szów no – ja – ce – ni – łów – na – ni – ca – a – te – ny.

Z powyższych zgłosek zestawić jedenaście nazw oznaczających: 1) państwo w Ameryce, 2) miasto w Galicyi, 3) miasto w Sycylii, 4) góra w Tyrolu, 5) miasto w południowym Meksyku, 6) rzeka w Szwajcaryi, 7) prowincya w Hiszpanii, 8) wieś sławna zwycięstwem Napoleona, 9) góry (odwrotnie), 10) miasteczko w Galicyi, 11) miasto włoskie.

Wtedy początkowe litery z góry ku dołowi i końcowe z dołu do góry czytane, dadzą spółczesną chwilową atrakcyę w Krakowie.

(Za rozwiązanie rebusa, szarady i łamigłówki przeznacza redakcya trzy nagrody: ***1) Dzieła Mickiewicza, 2) Edgara Allana Poëgo: „Morderstwo przy ulicy Morgue“, 3) „Humoreski Stasiaka“,*** które to nagrody przez losowanie otrzymać mogą tylko prenumeratorzy.

Rozwiązanie nadsyłać należy listownie z podaniem nazwiska najdalej do wtorku włącznie po ukazaniu się odnośnego numeru *„Nowości illustrowanych“*; nazwiska nadsyłających trafne rozwiązania ogłosi się w następnym numerze.

Zemsta redaktora.

HUMORESKA PROTA ZWARDONIA.

Ciężki to chleb ten redaktorski!... Każda marna figura, co pióro potrafi zamaczać w kałamarzu, narzuca mu próby swego „talentu“ z prośbą o wydrukowanie ich „w szacownem pańskiem piśmie“ — a nieszczęsny, jeżeli odmawia! Targają go przy każdej sposobności jak starą gazetę na pieprz!...

Każdy redaktor to męczennik!... A jednak żaden może nie wycierpiał z wyżej wspomnianych przyczyn tyle — ile Wenanty Lubczak, redaktor „Gwiazdki wadowickiej“...

Trzeba wiedzieć, że w Wadowicach mieszkała swego czasu stara panna Ludwika Gębalska, osóbka tak miła i sympatyczna, że cała okolica drżała na pięć mil dokoła na samo wspomnienie o ciętym języczku panny — jak ją nazywano — Lusi Gębusi....

Mimo gotóweczki odziedziczonej po wcześnie zmarłych rodzicach, mimo starannych poszukiwań od 17 roku życia, mimo politowania godnych wysiłków nieraz w tym kierunku — nie udało jej się złapać wróbla na plewę, nie powiodło się jej przynęcić na męża nikogo! Nikt nie mógł się zdecydować na jej brzydotę, na suche kości i... na ten sławny pytel w buzi!...

Otóż ta właśnie panna Lusia, w czterdziestej piątej swojej wiośnie straciła drogiego przyjaciela Żolka, jamnika czystej rasy, bardzo do swej pani przywiązanego, szczególnie, gdy go wzięła na sznurek....

Pies zdechł — widocznie z nadmiaru przywiązania, a pani w nieutulonym żalu puściła się na poezyę i popełniła w rozpaczy elegię czy epitafium złożone z szesnastu wierszy a znacznie więcej nonsensów... i tego płodu jej fantazyi nie umieścił redaktor w „Gwiazdce“!...

W odpowiedziach od redakcyi wyczytała „morska kotka, (tak ją nazywali studenci wadowickiego gimnazyum) co następuje:

„Poezyi pani nie umieścimy. Redaktor należy do Towarzystwa ochrony zwierząt i nie może pozwolić, żeby pamięć tak wiernego stworzenia, jakiem jest pies, bezcześcić podobnego rodzaju haniebnymi wierszami bez ładu, składu i sensu... bo mogłoby się biedne zwierzę w grobie przewrócić na taką hanbę!...“

Wyobrażasz sobie, szanowna, młoda i piękna czytelniczko, jakiem świętem oburzeniem, jaką serdeczną nienawiścią zapałało stare pannisko do nieszczęsnego redaktora „Gwiazdki wadowickiej“... Suchej nitki nie zostawiła na nim przy żadnej okazyi, na żadnym „fiksie“ u dyrektorstwa, na żadnej promenadzie po ulicy lwowskiej, kalecząc jego renome od rynku aż po za most na Skawie — i z powrotem....

Dzięki nieustającym jej staraniom redaktor Lubczak urósł na bohatera ciemnej sławy: całe sterty wad i przywar otoczyły jego przyzwoite zresztą a nawet przyjemne nazwisko!... Wykazało się w krótkim czasie, że mimo wszelkich pozorów przyzwoitości jest on szulerem pierwszej wody, pijakiem „f“ „f“, kobieciarzem „na grandę“ i t. d. i t. d. słowem stekiem wszelkiej niemoralności i wyuzdania, za co oczywiście prędzej czy później skończyć musi jeżeli nie na szubienicy to przynajmniej w Wiśniczu w suterenach!...

Śmiał się z tego wszystkiego redaktor, gdy mu to opowiadano i tylko od czasu do czasu w kronice lokalnej swego pisma wspomniał coś o niej pod figurą „jadowitego grzybka z ogrodu szlachetnej kobiecości!...

Żartował jednak niedługo... dowiedział się bowiem z poważnego źródła, że Gębusia obgębowała też niemożliwie i jego narzeczoną, panienkę skromną, młodziuchną, stworzenie, jak to mówią, Bogu ducha winne... i to czerniła ją bez litości zapewniając znajomych (a znała całe Wadowice na palcach!) o niezliczonych miłosnych awanturkach panny Heluni ze studentami, z oficerami i licho tam nie wie z kim jeszcze!

— To będzie parka — powiadała — jak stworzona dla siebie! Szukali się w korcu maku!

Cierpiał redaktor za siebie, bo cierpiał... ale teraz już wyczerpała się ta jego cierpliwość i wziął się do rewanżu — powoli, z rozmysłem a skutecznie, jak się to pokaże w końcu.

Przedewszystkiem zebrał od kilku poważnych pań pisemne potwierdzenia owych plotek panny Gębusi, a szczególnie co do opowieści najnowszej daty. która brzmiała ni mniej ni więcej, tylko że panna Hela w ostatnich dniach była z pięknym kapitanem Fürstem na rendez-vous o godzinie dziesiątej wieczorem za Kleczą w uroczym lasku!...

Mając dowody te w kieszeni, usiadł redaktor do biurka i napisał artykulik do „małego feljetonu“, który następnego dnia czytano w całem mieście, a który miał tytuł:

„Siła miłości“.

„Ktoby to był pomyślał, że nasze ciche miasteczko stanie się widownią romansu, jakiego nie powstydziłby się stary Dumas ani autor „Bladej hrabiny“ — dla jego istotnej oryginalności!... A jednak — to fakt!...

„Znacie wszyscy, szanowni moi czytelnicy, tu w Wadowicach owo stare pannisko z krzywym sępim nosem i kociemi oczkami, której język, jadu pełny, ostrzejszym jest od szpilki, od brzytwy, gdy bądź to na wizytach, bądź na promenadzie zacna jędzonka obmawiać zacznie i od czci odsądzać swoich bliźnich, a najbardziej swoje młodsze „bliźnie“!...

„Nie uwierzycie, gdy wam powiem, że ta złość, ten jad, ta niepoczciwość — to wszystko było tylko udane — udawane przez lat dwadzieścia i pięć w tym celu jedynie, żeby odstraszać od siebie cały ród męski, kobietom niebezpieczny — a pozostać wierną jednemu, na którego lat tyle czekała z utęsknieniem!

„Niegdyś!... dawno — właśnie przed owymi dwudziestu pięciu latami była ona narzeczoną!... Było to szczęście — ale krótkie... Narzeczony, hulaka, letkiewicz, narobił długów, a chcąc się z biedy wychrapać, podpisywał fałszywe weksle...

„I stało się, co się zwykle dzieje w takich wypadkach: malwersacye odkryto, a piękny — bo był nawet przystojny — narzeczony zniknął jak kamfora z powierzchni Europy!

„Napróżno wszystkie policye i żandarmerye śledziły za nim — przepadł!

„Nagle — przed kilku dniami pojawił się tu w Wadowicach Amerykanin nazwiskiem Mr. Brown i opowiadał się ajentem Towarzystwa biblijnego z Nowego Jorku...

„W tym charakterze obchodząc wszystkie domy w mieście, zaszedł też i do mieszkania wyżwspomnianej damy. Zaledwie zaczął mówić, spostrzegł, że nieboraczka zbladła, zatrzęsła się jak w febrze, zerwała z siedzenia i wpatrzyła się w niego przeszywającym wzrokiem...

„Ryknęła staruszka jak raniona tygrysica i rzuciła się w jego objęcia...

„— Ferdek! to ty! ha — mam cię przecież znowu!... Po tylu latach! O! mam cię i nie puszczę więcej! Nie drapniesz mi już teraz po raz drugi — nie!

„— A więc to naprawdę ty, stara morska kocico? to żyjesz jeszcze? Nie myślałem!

„— Tak... – odsyknęła „kocica“ – żyję jeszcze! Ale teraz albo się ze mną ożenisz, albo cię oddam żandarmeryi!

„— Daj pokój groźbom – mruknął Yankies — historya to nadto przedawniona... Po drugie, wątpię, czy mnie zechcesz, bo ja należę do sekty Mormonów, i mam do tej pory sześć żon w Nowym Jorku.

„— To nic – krzyknęła – ja będę siódmą! Wszystko mi jedno, ale cię już nie wypuszczę z rąk!

„Ze zdziwieniem przypatrywał się Mr. Brown tej zaciekłości, wreszcie rzekł:

„— Ha... chcesz? dobrze! oto moja ręka! Musisz wiedzieć, że właśnie dla tego wziąłem sobie tyle żon, żeby odpokutować ciężkie grzechy młodości... W porównaniu z tobą — tamte sześć to owieczki potulne... biorąc więc ciebie, z pewnością zasłużę sobie niebo w życiu przyszłem!... Czujesz w sobie dość siły, żeby mi tu piekło zrobić na ziemi?... Tak?... dobrze więc! Jest tu ze mną mój wspólnik w charakterze sługi, a właściwie jest on duchownym mormońskim i może nas połączyć natychmiast węzłem małżeńskim. Potem — wio do Ameryki — w imię Boże!

„Kotka porwała natychmiast kapelusz, poszła z nim do hotelu pod Sobieskim, gdzie istotnie ów „ksiądz“ mormoński dał im ślub po wszelkiej mormońskiej formie.

„Na drugi dzień szczęśliwy małżonek odjechał do Ameryki, szczęśliwa zaś pani młoda pospieszy za nim z tęsknotą, skoro tylko załatwi się tu w Wadowicach ze swymi majątkowymi interesami...

Wydrukowawszy ten artykuł, porobił redaktor Lubczak wiarygodne odpisy owych poświadczeń plotkowych, dodawszy do nich: „Za oszczerstwo dostaje się według paragrafu N. N. kodeksu karnego tyle a tyle...“ zawinął to wszystko w odnośną noweletkę z dziennika i posłał pannie Gębusi przez posłańca, którego z propinacyi wyciągnął pijanego.

Cios uderzył w najboleśniejsze miejsce.

Powiadali, że „kociuńcia“ wściekła się formalnie: biła, tłukła, łomotała wszystko dokoła siebie jak skończona furyatka z Kulparkowa, wrzeszczała nieludzkimi głosami: „zemsty! zemsty! ja tego gałgana nauczę! ja go wsadzę do kryminału!...“, ale rzuciwszy okiem na świadectwa swych plotek, uspokoiła się nagle i tylko spłakała się rzewnie ze żalu!...

Tej nocy nie spała wcale, a dzień następny przyniósł jej jeszcze więcej zgryzot! Ze wszystkich stron przysyłano jej bilety z poważnymi gratulacyami... a kilka nasłanych widocznie starych przekupek przyszło ją usilnie prosić o adres Mra Browna, który może chętnie dopełniłby liczby swych połowic — do tuzina!

Pan Z., przyjaciel redaktora, przysłał jej w podarku ślubnym kołyskę; pan W. ogromny pantofel z dedykacyą: „Dla kochającego małżonka na głowę!“ Te i t. p. prezenty do takiej wreszcie rozpaczy doprowadziły nieszczęsną plotkarkę, że trzeciej nocy, spakowawszy na łeb na szyję manatki, wyprawiła je koleją do Bielska, dokąd pierwszym rannym pociągiem i sama podążyła z gorzkim bolem serca!...

Z wagonu tylko wygroziła suchą, kościstą pięścią całym Wadowicom — i więcej jej nie widziano...

Powiadają, że wychodzi za mąż za jakiegoś starego szwaba – ekspresa czy też hausmajstra...

Poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół parafialny Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu.

Brak parafialnego kościoła od lat 120 odczuli mieszkańcy miasta Tarnopola, zawiązało się więc towarzystwo pod wezwaniem św. Józefa, celem zbierania składek. W ciągu 6-ciu lat zebrano wcale pokaźną kwotę, bo 60 tysięcy koron. Myśl budowy kościoła nie długo zdołała pozostać samym zamiarem, gdy rok temu duszpasterstwo w parafii objął ks. prałat Bolesław Twardowski. Mimo piętrzących się przeszkód w urzeczywistnieniu tej potrzeby parafii, by miała własny przybytek Boży, poszedł śmiało naprzód zrozumiawszy, że przez ustępowanie trudnościom sprawa odwlekłaby się na długie lata. Nowy proboszcz dokonał tego, że już w drugim roku swego duszpasterstwa, rozpoczął budowę nowego



Kościół parafialny pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu.

przybytku Bożego. Jak rycina wskazuje, kościół ten w stylu przejściowym z romańskiego w gotycki, będzie prawdziwą ozdobą Tarnopola, jakiej mu pozazdrościć mogą inne miasta nasze. Twórcą planu jest znany na polu architektury kościelnej prof. Talowski, wykonawcą zaś nadinżynier Neuhoff. Roboty rozpoczęte z początkiem lata, dziś wieńczą się cokołem, który bieleje nad ziemią, uwydatniając już piękną rozmaitość konstrukcyi tej wspaniałej budowli.

W dniu 8 września b. r. wraz z uroczystością Narodzin Najśw. Panny, obchodził Tarnopol narodziny swego kościoła parfialnego, w tym dniu bowiem J. E. Ks. Arcybiskup Dr. Józef Bilczewski, dawszy wprzód święcenia kapłańskie jednemu z alumnów Kollegium polskiego w Rzymie, rodem z Tarnopola, dokonał uroczystego poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy przybytek Boży.

Dr. Koerber w Galicyi.

(Wrażenia po fakcie).

...Galicya jest krajem niezwykle szczęśliwym, bo... prezydenci gabinetu austryackiego albo z niej pochodzą, albo też do niej przyjeżdżają!...

Tak tego roku kraj nasz zaszczycił swą wizytą prezydent ministrów dr. Ernest Koerber. Przybył, aby naocznie przekonać się o stosunkach, w jakich żyje ludność, o jej istotnych potrzebach, wprost niezbędnych — przybył, aby skonstatować, jak funkcyonują na naszej niwie jego zastępcy w osobach najróżnorodniejszych urzędników...

Czy Koerber widział to, co przedewszystkiem powinien był widzieć, czy przypatrzył się nędzy naszego chłopa, opłakanym stosunkom, w jakich żyje nasz rękodzielnik! Zdaje się, że nie! Ale zato poznał przysłowiową staropolską gościnność naszą, dobry smak i wytrawność w urządzaniu bankietów, rautów i różnych podobnych przyjęć, jakiemi codzień gdzieindziej czczono jego ministeryalny majestat.

Przyjmowany tak serdecznie minister nie szczędził przyjmującym go przedstawicielom kraju i rządu nawzajem serdeczności. Wszystkie jego mowy nacechowane były ciepłem i tajemniczemi obietnicami i najgorętszemi zapewnieniami że „obecnie, gdy poznał już potrzeby Galicyi, dołoży wszelkich starań, aby je zaspokoić, o ile to będzie w jego możności“.

W enuncyacye dra Koerbera, a zwłaszcza w te powyżej zacytowane słowa, które z takim zapałem wypowiedział na raucie u marszałka krajowego w gmachu sejmowym, wierzymy święcie.

Bo i dlaczegóżby dr. Koerber nie miał dotrzymać swych obietnic — o ile będzie w możności?...

Z doby pożarów.

Dnia 13 z. m. w Zabłociu na Podgórzu wybuchł około godziny 7 wieczorem pożar w barakach wojskowych. W jednej chwili płomienie objęły zabudowania, dzierżawione od wojskowości przez pana Ignacego Zangena na skład siana. Drewniany, suchy jak pieprz, barak i siano to najlepszy żer dla ognia. Zanim przybyła straż podgórska natychmiast zawezwana, od strasznego żaru zajął się słup telegraficzny stojący o kilkanaście metrów dalej... W chwilę później nadjechały dwa plutony krakowskiej straży ogniowej pod wodzą naczelnika Nowotnego, a równocześnie przybyła wojskowa straż dwunastego pułku dragonów i oddział pionierów.

Straż podgórska obsadziła stojące opodal inne baraki, a plutony krakowskie wytężyły swe siły w tym kierunku, aby zlokalizować ogień. Ale nie było to łatwe zadanie... Ośm wężownic lało strumienie wody prawie napróżno... płomienie kryły się na chwilę, i znów buchały w górę, dopiero, gdy strażacy krakowscy niezważając na żar i niebezpieczeństwo zaczęli rozrzucać siano i dopiero zlewać je wodą, osiągnięto cel — opanowano straszliwy żywioł. Zacięta ta walka trwała przeszło trzy godziny.

Do ugaszenia pożaru zużyto 800 hektolitrów wody, w czem wzięto z hydrantu wodociągu krakowskiego przy moście podgórskim 400 hektolitrów. Podgórze bowiem dotychczas własnej wody niema, i pewno nie prędko się jej doczeka!...

Rycina nasza przedstawia widok spaleniska na drugi dzień po pożarze.

Prof. dr. Józef H. Kallenbach.

Osierocona przez śmierć ś. p. Piotra Chmielowskiego katedra literatury polskiej na Uniwersytecie lwowskim została w ostatnich dniach obsadzoną. Powołano nań dr. Józefa Henryka Kallenbacha, byłego profesora Uniwersytetu w Fryburgu szwajcarskim a ostatnio biblotekarza ordynacyi Krasińskich w Warszawie.

Prof. Kallenbach, urodzony w r. 1861 w Kamieńcu Podolskim, odbywał studya gimnazyalne we Lwowie, Stanisławowie i Tarnopolu. Świadectwo dojrzałości otrzymał w IV gimnazyum lwowskim w r. 1880. Studya uniwersyteckie odbywał na wydziale filozoficznym uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie też otrzymał stopień dra. filozofii w r. 1884. Następnie kształcił się na uniwersytetach w Lipsku, Monachium i Paryżu. Od r. 1887 do 1889 był bibliotekarzem Akademii umiejętności w Krakowie. W r. 1887 habilitował się w Krakowie na docenta historyi literatury polskiej a w lipcu roku 1889 został powołany na katedrę języków i literatur słowiańskich w uniwersytecie fryburskim w Szwajcaryi.



X. Prałat Bolesław Twardowski
inicyator budowy kościoła parafialnego w Tarnopolu.

Mimo młodego stosunkowo wieku zajął prof. Kallenbach wybitne stanowisko w świecie naukowym i literackim, a w bibliografii polskiej zapisał się zaszczytnie, jako autor całego szeregu poważnych studyów i rozpraw naukowych.

Wybór profesora Kallenbacha powinien Lwów zatem powitać z radością, bo można go śmiało uważać za godnego następcę ś. p. Chmielowskiego.



Poświęcenie kościoła parafialnego pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Tarnopolu.



TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

I.

...Była może godzina dziesiąta w nocy, kiedy zdążałem sam jeden gościńcem prowadzącym do miasta — do mojego rodzinnego miasta, którego dwa lata nie widziałem.

Do celu mojej podróży było już niedaleko; po półgodzinnej wędrówce miałem już stanąć u rogatek, a jednak nie spieszyłem się bynajmniej. Nic mnie tam nie ciągnęło, a tajemnicza przyszłość, przyszłość, jaka czeka zbrodniarza, przejmowała mnie trwogą, odpychała od tych pomimo wszystko ukochanych stron ojczystych.

Dwa lata nie byłem tam, bo dwa lata spędziłem w więzieniu... Tak! w więzieniu, skazany jako włamywacz, choć Bogiem a prawdą, to nigdy nim nie byłem... przynajmniej w dosłownem tego słowa znaczeniu.

Dzień przedtem wypuszczono mnie na wolność. Dyrektor więzienia zawołał mnie do siebie i po kazaniu moralnem, w którem kładł główny nacisk na to, że te dwa lata spędzone w kaźni powinny były mnie poprawić, przypomniał mi treść wyroku: „po ukończeniu kary podpada więzień pod nadzór policyjny“...

Kazanie moralne dyrektora wzruszyło mnie mocno, a przynajmniej o tyle, że odczułem, co dzieje się w mojej duszy i jak poprawczo oddziałały na mnie te dwa lata spędzone w otoczeniu zawodowych zbrodniarzy.

Tak! czułem dobrze, że z chwilą, gdy mnie zamknięto do celi więziennej, byłem niewiniątkiem w porównaniu do tej chwili, w której mnie wypuszczono!...

Teraz to naprawdę byłem zdolny do wszystkiego; do najpotworniejszych zbrodni, do najokrutniejszych morderstw — i nic dziwnego! Przecież policya tak umila skazańcom drogę do dobrego, tak ich do wstąpienia na nią zachęca, tak im pomaga wprost cudownie do wyszukania i zapewnienia sobie uczciwego zarobku, iż kto raz przestąpił progi więzienia, nad kim raz zaciążył miecz sprawiedliwości, ten dzięki jedynie takiej tkliwej i czułej opiece władz bezpieczeństwa choćby miał najlepsze zamiary, najgorętsze chęci zmienić swój sposób życia, ten musi zostać zbrodniarzem... bo głód i ustawiczny pościg zmuszą go do tego!...

Jasna, pogodna czerwcowa noc dziwnie oddziaływała na mnie. Jednocześnie zachwycałem się czystem niebem, dzierzganem w fantastyczny deseń milionem gwiazdek i odczuwałem obawę, aby ta jasność nie zwróciła na mnie uwagi jakiegoś żandarma myszkującego wśród zaułków podmiejskich... Bałem się tłumaczeń i związanych z tem nieprzyjemności, kończących się zwykle „tymczasowem osadzeniem w aresztach policyjnych dla braku miejsca zamieszkania i innych środków do życia“...

To też w myśli błysnęło mi nagle postanowienie spędzić tę noc gdzieś w polu poza miastem, a wyspawszy się i obmywszy stanąć dopiero przed władzą i poddać pod „nadzór“...

Postanowienie to wydawało mi się dobrem i z tem postanowieniem chciałem już zboczyć z gościńca, gdy wzrok mój padł na jedną z willi stojących przy drodze.

Skryta cała wśród zieleni drzew, z oknami szczelnie pozamykanemi i z pospuszczanemi roletami, nieoświetlona, cicha, zdawała się być opuszczoną kompletnie przez ludzi...

Zapewne właściciel jej, czy też właścicielka korzystając z sezonu i pięknej pogody udali się gdzieś do kąpiel, a willa pozostała na łasce opatrzności i — złodziei!...

Pocóż mi spać w polu — pomyślałem — kiedy tu znajdę zapewne bodaj jaką kanapę...

— Kanapę jak kanapę, ale może coś z łatwych do uniesienia a dobrze się dających sprzedać ruchomości! — rzekł mi ktoś do ucha...

Drgnąłem i obejrzałem się czemprędzej.

Dokoła nie było nikogo...

Zrozumiałem tę historyę odrazu: w chwili, gdy myślałem jak człowiek, odezwał się we mnie złodziej! Dwuletnia poprawa nie poszła w las!...

Nie namyślałem się długo. Byłem silny i gibki, a za dobrych czasów oddawałem się z zapałem gimnastyce, więc przeleźć przez wysokie żelazne sztachety, okalające ogródek, w którym kryła się willa, nie było dla mnie tak wielką sztuką.

Kilkoma energicznymi i szybkimi ruchami wziąłem pierwszą przeszkodę i stanąłem wśród krzewów, rosnących na klombie frontowym przed podjazdem.

Cisza panowała dokoła. Żaden pies nie zaszczekał, żaden podejrzany szelest nie dał się słyszeć. Chyba nie pomyliłem się w moich przypuszczeniach. Willa musiała być pusta!...

Nietrzeba długo praktykować w sztuce włamywania się, aby przyjść do przekonania, że przy każdym takim zamachu na dobro bliźnich, należy unikać zakradania się przez drzwi frontowe!

Dyabeł nie śpi! A nuż wyrośnie na drodze jakby z pod ziemi jakiś przechodzień: alarm gotowy w tej chwili i jeśli nogi wtedy zawiodą, to człowiekowi ściele się prosta droga do kaźni!...

Choć więc, ściśle rzecz wziąwszy, byłem dotychczas zbrodniarzem z teoryi, postanowiłem korzystać z nauk towarzyszy więziennych w praktyce.

Chyłkiem obszedłem willę i po kilku schodach kocim krokiem wszedłem na tylny ganeczek. Drzwi do połowy oszklone, a do wnętrza willi prowadzące, były zamknięte.

Zakląłem z cicha! Wytrych! jeden wytrych mógł mi tylko pomódz w pokonaniu tej przeszkody, a wytrycha nie miałem pod ręką!...

Włamywacz ma jednak swoje sposoby — musi być na wszystko przygotowany. Zacząłem się rozglądać dokoła i w kącie przy balustradzie dostrzegłem jakiś ciemny przedmiot.

Nachyliłem się i o mało co, że nie krzyknąłem z radości!

Dojrzałem bowiem garnek napełniony lepką, gęstą cieczą z zapachu mocno przypominającą klajster.

Umaczałem palec w tej cieczy i skosztowałem jej. Tak! nie myliłem się bynajmniej! To był klajster, prawdziwy a taki zwykły klajster zrodzony z ojca krochmalu i matki mąki, którym za miłość starczyła woda!...

Nie wahając się ani chwili zrzuciłem marynarkę i rozciągnąwszy ją na podłodze podszewką do góry zacząłem szybko rozsmarowywać po niej klajster.

W parę minut z tą robotą byłem już gotów.

Przystanąłem wówczas na chwilę, natężyłem wzrok i słuch, a przekonawszy się, że nic podejrzanego niema dokoła, wysmarowaną klajstrem marynarkę położyłem na szybie jednej połowy drzwi, poczem przyklepawszy ją tak, żeby szczelnie przystawała do szkła, nacisnąłem nagle mocno...

Cichy, ledwie dosłyszalny brzęk rozległ się i zamącił na chwilę głuchą ciszę nocną.

Gdy odjąłem marynarkę od szyby uśmiech radości zawitał na moje lica!

Droga do wnętrza willi stała mi otworem.

Oczyściwszy jako tako marynarkę ze szkła i klajstru, zręcznie przesunąłem się przez wybite okno i stanąłem w niedużym czystym korytarzyku, z którego dwoje drzwi prowadziło do wnętrza willi.

Pierwsze małe jednoskrzydłowe nie zwróciły nawet mej uwagi. Cóż mogło być za niemi? Kuchnia, spiżarnia, albo jakiś podręczny magazynik? Wielkie rzeczy! Wolałem skierować swe kroki przecież do pokojów mieszkalnych, bo tam mogłem spodziewać się i dobrego łupu i smacznego noclegu.

Ująłem za klamkę drugich drzwi i nacisnąłem ją powoli. Dreszcz przeszedł moje ciało.

Co za szczęście — drzwi nie były na klucz zamknięte. Otworzyłem je cichutko i wsunąłem się do pokoju.

Odrazu poznałem, gdzie się znajduję. Przy mdłym blasku księżyca, pod jedną ścianą szereg pięknie rzeźbionych szaf oszklonych, które zapełnione były od góry do dołu księgami we wspaniałej złoconej oprawie, szereg szkiców i obrazów rozwieszonych w systematycznym porządku na innych ścianach i ogromny stół stojący w pośrodku pokoju zarzucony księgami i papierami, kazały mi się domyślać, że jestem w pracowni jakiegoś uczonego.

Na biurku stojącem przed wielkiem weneckiem oknem, jedynem, jakie było w tym pokoju, dostrzegłem świecę i zapałki.

Cisza, jaka wciąż panowała dokoła, dodała mi odwagi.

Szybko skoczyłem na biurko i prawie bez szelestu spuściłem żaluzye w oknie, poczem przymknąłem jeszcze okiennice, jakie znajdowały się wewnątrz pokoju.

Upewniwszy się w ten sposób przed okiem niepotrzebnych świadków, zapaliłem świecę i rozglądnąłem się teraz z całą swobodą.

Miękkie, eleganckie fotele, wyścielane ciemnym pluszem, bogato inkrustowane perłową macicą biurko, smyrneński dywan rozciągnięty na podłodze, słowem całe urządzenie przekonało mnie, że właściciel tej willi musi być niezmiernie bogatym człowiekiem.

Uśmiechnąłem się sam do siebie i nie tracąc czasu wziąłem się do poszukiwań, choć nie miałem nadziei wzbogacić się w tym pokoju.

Przecież srebra i złota nikt, nawet uczony nie chowa w bibliotece, czy tam w pracowni.

Zacząłem więc pracę od biurka.

Duża, ciężka, bronzowa kaseta leżąca na niem, zwróciła pierwsza mą uwagę. Klucz od niej tkwił w zamku, więc z otworzeniem nie miałem kłopotu. Ale zaledwie podniosłem wieko, na twarzy mej musiał pewnie pojawić się wyraz grubego niezadowolenia. W kasetce bowiem znajdowały się jedynie wszelkie możliwe narzędzia chirurgiczne, błyszczące, wspaniałe ale dla mnie nie mające żadnej wartości...

Przekonało mnie to jedynie, że mój gospodarz był lekarzem i to zapewne sławnym, wziętym, poważanym.

Swoją drogą musiał to być zacny chłop i tak po uszy zagrzebany w swej nauce, że nawet zapomniał zupełnie o istnieniu amatorów cudzej własności na tej ziemi, gdyż wszystkie szufladki w biurku były na oścież pootwierane.

Swoją drogą nie znalazłem w nich nic a nic takiego, coby mi się przydać mogło...

Zniechęcony spojrzałem na główną szufladę.

— I tu zapewne niczego nie ma! — pomyślałem, próbując czy jest otwarta.

Ale szuflada była zamknięta, a klucza do niej na biurku nie mogłem znaleść.

Ta nowa przeszkoda dodała mi energii i napełniła nadzieją. Pod kluczem chowa się przecież tylko przedmioty wartościowe.

Narzędzia chirurgiczne, używane dotychczas zapewne tylko do operacyi, posłużyły mi teraz za dłuta i wytrychy. Bez wielkich wysiłków rozbiłem zamek i zaglądnąłem do wnętrza szuflady.

Wściekłe przekleństwo wyrwało mi się z piersi. Szuflada była... pusta!

I już uniesiony gniewem chciałem ją zatrzasnąć, już zaaplikowałem jej porządne pchnięcie, gdy szuflada zacięła się dziwnym trafem, a wskutek wstrząśnienia z głębi jej wytoczył się mały rulonik papierowy, na który nie zwróciłem bynajmniej uwagi...

A jednak, coby to była za szkoda, gdybym go był nie dostrzegł!...

Na ruloniku widniał bowiem wyraźny choć drobny napis:

„500 koron w złocie“.

O włos, a byłbym te pieniądze stracił bezpowrotnie!...

Rozerwałem papier okalający rulonik i złoto rozsypało się na biurku.

Uradowany czemprędzej schowałem je do kieszeni i zachęcony takiem powodzeniem, postanowiłem jak najdokładniej przeszukać cały pokój.

Wzrok mój padł teraz na dużą dębową szafę stojącą w jednym kącie pokoju.

— Być może — myślałem — że w szafie tej nie znajdę nic innego, jak tylko garderobę, ale i ta mi się przyda, bo przecież nie mogę przedstawić się policyi w mojej zaklajstrowanej marynarce! Wzbudziłaby ona przecież w stróżach bezpieczeństwa publicznego całkiem uzasadnione podejrzenie...

Zabrałem się więc znów do operacyi włamania, ale okazało się to całkiem niepotrzebne. Gdy bowiem skalpelem zacząłem manewrować w zamku, przypadkiem nacisnąłem guziczek stanowiący niby część wierzchniego okucia i równocześnie drzwi szafy same uskoczyły...

Trafiłem więc na tajemny zamek!

Zaglądnąłem do szafy. Była pusta, ale równocześnie dojrzałem, że jest ona jedynie maską, kryjącą w swem wnętrzu jakiś tajemniczy przechód, bo tylna jej ściana tworzyła drzwi prowadzące pewnie do jakiejś skrytki.

– Dobra nasza! – szepnąłem do siebie — prawdziwe skarby znajdę zapewne dopiero w tej kryjówce!...

Coś ciągnęło mnie, aby jaknajprędzej zbadać tę tajemnicę, ale mimo to nie odstąpiłem od wprzód powziętego zamiaru i podjąłem przedewszystkiem dalsze poszukiwania w pracowni uczonego.

Tuż obok tej tajemniczej szafy stała przyparta do ściany ogromna skrzynia suto kowana, taka, jaką można spotkać dziś w każdej góralskiej chacie, a w jakiej dawniej po dworach chowano ubrania.

Nie myślałem nawet, co ta skrzynia może zawierać, bo w pierwszym rzędzie trapiło mnie pytanie, czy ta skrzynia ma zamek i czy z tym zamkiem potrafię dać sobie radę.

Przy słabym blasku świecy począłem ją dokładnie oglądać i z bezgraniczną uciechą skonstatowałem, że skrzynia niema żadnego zamknięcia.

Postawiwszy więc świecę tuż przy skrzyni na krześle, oburącz chwyciłem wieko chcąc je dźwignąć do góry.

A nie była to łatwa praca!

Wieko złożone z grubych bierwion bukowych, okute potężnymi sztabami żelaznemi, było przyzwoicie ciężkie.

Pot kroplisty spływał mi z czoła, wytężyłem więc wszystkie siły, a choć nie jestem ułomek i mogę się śmiało liczyć do siłaczy, to jednak ledwie że zdołałem podnieść ostatecznie to wieko i oprzeć je o ścianę...

Zapach gaszonego wapna napełnił pokój. Nerwowym ruchem chwyciłem świecę z krzesła i zapuściłem wzrok w głąb skrzyni.

Hah!...

Dreszcz trwogi wstrząsnął mem ciałem, zimny pot wystąpił mi na skronie; cały dygotałem jak w febrze, a włosy zjeżyły mi się na głowie.

To, co zobaczyłem, największego zucha byłoby wyprowadziło z rónowagi, przejęło lękiem i wstrętem.

W skrzyni z pod grubej warstwy świeżo wygaszonego wapna wyłaniał się trup młodej, pięknej jak anioł kobiety...

II.

Tak! nagi trup kobiety leżał wśród wapna wciśnięty widocznie siłą do skrzyni, cichy, spokojny.

Z twarzy trupa, z krótko jak u dzieci obciętych włosów, spływających w gęstych zwojach na karczek można się było domyślać, że zwłoki te były szczątkami jakiejś młodej dziewczyny, którą morderca aż tu ukrył przed oczyma sprawiedliwości!...

Skamieniały z przerażenia stałem nad tą skrzynią, kryjącą w swem wnętrzu tak straszliwą tajemnicę i osłupiałym wzrokiem wpatrywałem się w delikatne rysy zmarłej. Zdawało mi się, że widzę na jej twarzy tę przedśmiertną obawę, która w konwulsyjnym dreszczu wykrzywiła jej drobne usta, gdy bezlitosny morderca zadawał jej cios ostatni!...

Nie byłem wstanie oderwać oczu od tego trupa. Nie czułem się na siłach cofnąć od tej skrzyni.

I nagle przejął mnie jakiś dziki, nie wypowiedziany lęk przed tą zmarłą. Zdawało mi się, że jej martwa twarz zaczyna się ożywiać, że z ust jej wydobywa się jakiś cichy szept skargi czy wyznania!

Przestałem być panem siebie i nie zważając na nic, chwyciłem za wieko skrzyni i z całą mocą pchnąłem je na dół.

Wieko padło na skrzynię z przerażającym łoskotem.

Teraz dopiero poczułem całą moją nieostrożność i grozę położenia, w jakiej się znajdowałem.

Jeśli morderca tej kobiety był w willi, to łoskot ten musiał dojść do jego uszu i pierwszy przyniósł mu wieść o wykrytej jego tajemnicy...

— Umarli nie mogą nas zdradzić! — powie sobie ten zbrodniarz — a wówczas nóż jego zmusi mnie do wiecznego milczenia.

Zdmuchnąłem świecę i wcisnąwszy się w najciemniejszy kąt pokoju zacząłem nadsłuchiwać, czy wśród ciszy, jaka znów zapanowała nie rozlegnie się odgłos jakich kroków.

Zacisnąłem w ręku silnie duży nóż operacyjny, którego niedawno używałem zamiast dłuta przy rozbijaniu biórka, i gotowałem się drogo sprzedać me życie.

Z pół godziny przesiedziałem tak bez żadnego ruchu skurczony z natężonym słuchem i wzrokiem.

Ta pół godziny zdawała mi się być wiekiem!...

Ile razy spojrzałem na ową skrzynię, dreszcz lęku przechodził me ciało. Chwilami wzrok mi się mącił i najdokładniej na pozór widziałem, że wieko samo podnosi się do góry i że z wnętrza skrzyni powoli powstaje zmarła i patrzy na mnie zgasłemi swemi oczyma...

Musiałem wówczas użyć całej siły woli, aby nie krzyknąć ze strachu, aby wytłumaczyć sobie, że ulegam jedynie halucynacyi...

Wreszcie powoli odzyskałem równowagę umysłu.

Cisza nieprzerywana najmniejszym szelestem przekonała mnie, że jedyną osobą żyjącą, jaka znajduje się w tej chwili, byłem ja sam, że prócz mnie z pewnością nikt nie przebywa pod tym dachem.



Spokojnie znów zacząłem się rozglądać po pokoju. Wzrok mój ślizgając się po różnych przedmiotach, których kontury nie pewnie rysowały się wśród ciemności, padł na jakiś błyszczący duży okrągły słój, stojący naprzeciw owej strasznej skrzyni pod drugą ścianą.

Zapaliłem świecę i podszedłem do tego słoja. Był to raczej duży wysoki prawie na metr kocioł mosiężny, zamknięty z wierzchu grubą szybą szklanną.

Spojrzałem do wnętrza tego kotła i nogi zadrżały podemną!...

To, co ujrzałem w skrzyni było błahostką, wobec tego, co ukrywało się w kotle!...

Szkielet ludzki z resztkami skóry przyschniętymi do nagich kości z świecącymi strasznie pustymi oczodołami w bezzębnej czaszce, tkwił w tym kotle...

Wpadłem na ślad nowej strasznej zbrodni!

Te dwa trupy odebrały mi gust do dalszych poszukiwań w gabinecie uczonego mordercy. Sama myśl, że prócz mnie i tych resztek dwóch istot żyjących, nikogo niema w pokoju, napełniała mnie taką obawą, że jaknajprędzej postanowiłem wynieść się z tego pokoju.

Lecz swoją drogą nie myślałem dać za wygrane — nie chciałem poprzestać na owych pięciuset koronach, które tak przypadkowo wpadły w me ręce.

Szafa z tajemniczem przejściem, z drzwiami ukrytemi po za nią, nęciła mnie teraz o wiele więcej, niż w chwili, gdy odkryłem jej tajemnicę.

Nacisnąłem bez wahania ów guziczek i wsunąwszy się w głąb szafy położyłem rękę na klamce drzwi prowadzących do nieznanej mi skrytki.

Zaledwie dotknąłem się klamki drzwi same uskoczyły i stanąłem na progu małego pokoiku, którego całe umeblowanie składało się z łóżka stojącego w jednym kącie wraz z wyplatanem krzesłem trzcinowem, przeznaczonem widocznie na składanie ubrania, z dużego stołu w środku pokoju i pysznego fotelu, który zdawał się zapraszać zmęczonego podróżnika do spoczynku. Dywan niewielkiej wartości rozpostarty na podłodze dopełniał tego umeblowania, które prócz widoku na dobry spoczynek niczem nie usprawiedliwiało nadziei, jakiemi tajemniczość wejścia napełniła moje serce.

Postawiłem świecę na stole i wyciągnąłem się wygodnie w fotelu.

— Ano! — pomyślałem w duszy — widocznie pani fortuna, która mnie tu sprowadziła, uważa, że dla takiego pana, który dopiero co opuścił mury więzienne pięćset koron jest wystarczającym łupem. —

Trudno! Muszę się więc zadowolić tem, co mam i przespać się tu teraz, bo skoro świt powinienem być już daleko od tej tajemniczej trupiarni!...

I upewniwszy się, że od przypadku mam przecież w kieszeni nóż chirurgiczny, który z takiem powodzeniem służył mi przy włamywaniu się do biórka, nie rozbierając się wcale, chciałem już przymknąć oczy i zasnąć w fotelu, gdy w tem ni stąd ni z owąd przyszło mi na myśl, że przecież stół, za którym siedziałem musi mieć jakąś szufladę i że w tej szufladzie może być coś, co mogłoby mi się przydać na dalszą drogę.

Leniwie dźwignąłem się z fotelu i zacząłem oglądać stolik. Istotnie! był on zaopatrzony w małą szufladę bez żadnego zamka, w taką zwykłą szufladę, jak naprzykład stół kuchenny.

Przyznam się, że niemiałem bynajmniej nadziei, bym mógł znaleść tam cośkolwiek. To też wstrząsnąłem się cały, gdy otworzywszy szufladę zobaczyłem jej zawartość.

Oczom własnym niechciałem wierzyć!.. W szufladzie jaknajspokojniej leżał złoty zegarek męski, cały wysadzany brylantami, które przy blasku świecy mieniły się tysiącem barw i promieni. Gruby lecz mimo to nader misternej roboty łańcuszek, wielka wysadzana szmaragdami wielkiemi jak ziarnka grochu tabakiera i wspaniały sygnet herbowy zdobny wieńcem pereł i brylantów, stanowiły resztę zawartości tego tak niepozornego skarbca.

I wszystkie te klejnoty rzucone tak nieopatrznie, zrodziły we mnie myśl, że ta niezamieszkała willa musi prócz tego ukrywać jeszcze sporo podobnych skarbów, które zapewne właściciel jej, uciekając po spełnieniu zbrodni, jakiej ślady znalazłem w jego pracowni, nie miał czasu zabrać, lub też o których ścigany wyrzutami sumienia całkiem zapomniał!.. (C. d. n.)

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Od chwili. kiedy w lutym poraz pierwszy na dalekim Wschodzie wstrząsnął powietrzem huk wystrzałów i polały się krwi strumienie, w strategicznych działaniach obu walczących mocarstw, do tej pory nie zaszły jeszcze żadne zmiany. Japonia, która po odwołaniu swego posła z Petersburga, zerwała z Rosyą stosunki dyplomatyczne i pierwsza podjęła kroki zaczepne udałym atakiem



Z wojny ros.-jap.: Marsz. wojsk jap. Oyama zwycięzca w bitwie pod Liaojanem.

nocnym torpedowców z eskadry admirała Togo na flotę rosyjską, stojącą w Porcie Artura — w dalszym ciągu całą swą akcyę strategiczną opiera na tak zwanej ofenzywie, czyli wyrażając się mniej te-



Z wojny ros.-jap.: Żołnierz z syb. pułku piech.

chnicznym zwrotem, nie wychodzi z roli zaczepnej i prze wraz ze swoją armią w głąb Mandżuryi, będącej kością niezgody — przyczyną tej wojny. Jaki plan ułożył rosyjski sztab jeneralny w Petersburgu, jakie zadanie zakreślił armiom mandżurskim — tego nie wiemy, o tem nie donoszą żadne pisma, a nawet rosyjskie dzienniki nie robią na tym punkcie żadnych przypuszczeń.

Z przebiegu wypadków widać jednak, że minister wojny, a obecnie głównodowodzący wojskami



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Namiestnik Mandżuryi, wicekról jenerał Aleksiejew.

rosyjskiemi, jenerał Kuropatkin, za zasadę wszystkich swych ruchów obrał defenzywę, czyli inaczej mówiąc, zajął ze swemi jenerałami stanowisko obronne. „Nie napadać, lecz bronić się przed atakami Japończyków“ to cała zasada operacyi jenerała Kuropatkina, który walczy o każdą piędź ziemi zaciekle, zmuszając Japończyków do okupywania każdego zwycięstwa ciężkiemi stratami.

Dotychczasowy przebieg wojny najlepiej uwydatnia te plany strategiczne obu stron walczących.

Popatrzmy tylko: Japonia pierwsza występuje zaczepnie. Wiedząc, że uwięziona w lodach portu władywostockiego flota rosyjska na razie musi zostać zupełnie bezczynną, całe swe siły morskie wytęża, byle tylko uczynić nieszkodliwymi okręty przeciwnika, stojące w Porcie Artura. Po pomyślnym pierwszym ataku swych torpedowców na nieprzygotowanych, niespodziewających się napadu Rosyan, podczas którego najlepsze okręty rosyjskie jak n. p. krążownik „Bojan“ i „Retwizan“ doznały ciężkich uszkodzeń, eskadra admirała Togo rozpoczyna blokadę tego portu, będącego kluczem do wrót Mandżuryi, podczas gdy z drugiej strony admirał Kamimura prawie bez walki zajmuje więcej handlowy niż obronny port Dalny, zyskując tem samem punkt wylądowania dla armii japońskich.

Japończycy od samego początku jasno zdawali sobie sprawę z położenia, rozumieli, że gdy posiądą Port Artura, będą panami terenu wojennego. Toteż gdy z jednej strony marynarka japońska dokazywała cudów bohaterstwa, graniczącego niemal z szaleństwem, byleby tylko przystań portową zabarykadować branderami i w ten sposób uniemożliwiając rosyjskiej flocie wyjazd z portu, odciąć załogę rosyjską od strony morza, z drugiej strony jenerałowie Kuroki, Nodzu i Nogi, wytężyli wszystkie siły, aby ze strony lądu opasać tę twierdzę szczelnym pierścieniem i odrzuciwszy w głąb kraju gros wojsk rosyjskich, przystąpić do zdobycia Portu Artura.

Główno komenderującym ze strony rosyjskiej w chwili rozpoczęcia się wojny był jenerał Aleksiejew, wicekról Mandżuryi. Może i utalentowany żołnierz, nie miał jednak szczęścia w swych operacyach. Po krwawej bitwie nad rzeką Jalu, po której przejściu Japończycy stanęli na właściwym terenie przyszłych walk, Aleksiejew przeniósł swą kwaterę z Portu Artura, gdzie komendę objął jenerał Stoessel, do Charbina, gdy tymczasem Japończycy plan swój przeprowadzili z całą ścisłością. Jenerał Kuroki, od pierwszej chwili, gdy Mandżuryą wstrząsnął huk dział, nie szczędząc



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kuroki zwycięzca w bitwie nad rzeką Jalu.

ofiar zdołał tak oskrzydlić wojska rosyjskie, że nie pozostawało im nic innego, jak tylko rozpocząć odwrót. Port Artura został odcięty i armia jenerała Nogi rozpoczęła akcyę oblężniczą.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kuroki po bitwie nad Jalu udziela wyjaśnień strategicznych pułk. chińsk. Ouanowi.

W tym czasie z Petersburga przybył minister wojny jenerał Kuropatkin i objął naczelne dowództwo nad wojskami rosyjskiemi. Okazało się jednak wkrótce, że młodsi rangą jenerałowie rosyjscy nie dorośli do swego zadania, że żołnierz japoński ufny w swych wodzów i nieprzeciążony niepotrzebnym w bitwach bagażem, stoi o wiele wyżej od rosyjskiego. To zresztą otwarcie przyznali sami oficerowie rosyjscy.

I teraz rozpoczął się cały szereg mniejszych i większych bitew wśród których armia rosyjska rozpoczęła odwrót ku Charbinowi, podczas, gdy pod Portem Artura zahuczały działa i rozpoczęły się zacięte ataki Japończyków, parowane niemniej zaciętą obroną załogi...

Wprawdzie jenerał Kuropatkin, czując, że sytuacya Portu Artura jest bardzo tragiczną, chciał uczynić dywersyę — ale wysłany w tym celu jenerał Stackelberg został rozbity pod Wafanku, a jenerał Keller ekspedycyę tą życiem przepłacił...

Armia Kurokiego, który uchodził za naczelnego wodza Japończyków, ani na chwilę nie zaprzestała dalszej ofenzywy. Strumienie krwi polały się pod Niuczwangiem (Inkau), Fenwangczengiem i w in-



Z wojny ros.-jap.: „Askold“, najszybszy krążownik floty rosyjskiej w Porcie Artura, rozbrojony w Szangaju.

nych miejscowościach, trupy gęsto zasłały mandżurskie pola, aż w końcu przyszło do bitwy pod Liaojanem...

Tu dopiero wystąpił po stronie japońskiej jako naczelny wódz marszałek Oyama — Kuroki opuścił swe stanowisko, na którem zdobył laury i sławę i objął komendę pierwszej armii japońskiej.



Dwaj następcy tronu: Carowa Aleksandra Teodorówna.

Krwawa kilkudniowa bitwa pod Liaojanem zakończyła się odwrotem wojsk rosyjskich w kierunku Mukdenu...

Straty z obu stron były ogromne. Dowód najlepszy, że od szeregu dni wieści z pola bitwy ograniczają się tylko do raportów o małych potyczkach, jakie staczają japońskie przednie straże, utrzymujące ścisły kontakt z tylnemi strażami cofających się Rosyan...

Obecnie należy spodziewać się w okolicach Mukdenu lub Tielingu wielkiej walnej bitwy, której terminu nie można jednak oznaczyć. Obie strony zwlekają, bo obie gromadzą siły, obie chcą dać spoczynek wojskom, które — rzec można — przestrzeń od rzeki Jalu do Liaojanu prawie jednym tchem przebyły...

Tak przedstawia się sytuacya na lądzie. Na morzu położenie Rosyi jest o wiele gorsze. Wprawdzie flota władywostocka wydostawszy się z uwięzi lodowej, zdołała zadać dotkliwe szkody eskadrze admirała Kamimury — ale na tem skończyła się morska akcya rosyjskiej marynarki. Gdy bowiem przed bitwą pod Liaojanem flota portarturska chciała przerwać blokadę japońską i połączyć się z flotą władywostocką, która wyjechała na jej przyjęcie, stoczyły się równocześnie dwie straszne walki. Admirał Togo zaatakował flotę portarturską i część najlepszych okrętów jej zatopił, część rozpędził i zmusił je do szukania przytułku w portach neutralnych, gdzie je rozbrojono, co naprzykład spotkało w przystani szangajskiej Gromoboja i Askolda, który był najszybszym z krążowników rosyjskich... Te zaś okręty, które zdołały powrócić do Portu Artura, są albo uszkodzone, albo nie posiadają wielkiej wartości... Na „Cezarewiczu“ zginął w tej bitwie admirał Witheft!... A admirał Kamimura srogo pomścił zadaną mu przedtem klęskę. W jego ręce dostała się flota władywostocka, z której zaledwie kilka okrętów potrafiło się ocalić. Dziś na oceanie spokojnym flota rosyjska prawie nie istnieje. Nie dziw więc, że mianowany w miejsce admirała Uchtomskiego, który, obiąwszy po Withefcie komendę, fałszywą akcyą wprost umożliwił Japończykom zwycięstwo i za to został postawiony przed sąd wojenny, komendantem floty kapitan Wieren na gwałt żąda przybycia floty bałtyckiej...

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się dziś sytuacya na placu boju.

Dwaj następcy tronu.

Nareszcie spełniły się marzenia i nadzieje dwóch władców Europy: Car Mikołaj drugi i król włoski Wiktor Emanuel, doczekali się tak upragnionych następców tronu — upragnionych a mało spodziewanych, gdy zarówno carowa Aleksandra jak i królowa Helena do tej pory darzyły swych małżonków jedynie potomstwem płci żeńskiej.

Rosyjski następca tronu ujrzał światło dzienne 12 sierpnia, a zanim jeszcze na chrzcie otrzymał imię Aleksego, już car Mikołaj II, osobnym ukazem uregulował następstwo tronu w ten sposób, że na wypadek jego śmierci, opiekę nad nieletnim przyszłym władcą Wszech-Rosyi ma objąć carowa Aleksandra Teodorówna, podczas gdy ster rządów spocznie w rękach b. następcy tronu a brata carskiego Michała Aleksandrowicza.

W dwadzieścia dni po fakcie narodzin, które car uczcił manifestem znoszącym w Rosyi karę cielesną, odbyła się w Peterhofie uroczystość chrzcin Aleksego Mikołajewicza, w której rodzicami chrzestnymi byli cesarz niemiecki Wilhelm, król angielski Edward (obaj naturalnie *per procura*) wielki książę Heski, księżna Wiktorya angielska i carowa-wdowa Marya Teodorówna a oprócz tego wielcy książęta Aleksy Aleksandrowicz, Mikołaj Mikołajewicz i Aleksander Józefowicz.

Przyszły car rosyjski dotychczas piastuje już godność naczelnego atamana wojsk kozackich i dowódzcy gwardyi finlandzkiej.

Jak huk dział na Wschodzie towarzyszył złożeniu carewicza Aleksego do złoconej kołyski, tak włoski następca tronu spojrzał po raz pierwszy na ten świat w chwili, gdy w Buggeru zagwizdały kule karabinierów, skierowane w pierś strejkującego ludu....

Dnia 16-go września królowa włoska Helena w Racconigi powiła syna, który zaraz po urodzeniu otrzymał imię i tytuł: Humbert, książę Piemontu.

Chrztu świętego z polecenia papieża Piusa X. udzieli następcy tronu biskup Turynu, a nie jest bynajmniej rzeczą wykluczoną, że na uroczystość tę papież wydeleguje także któregoś kardynała z swojej kuryi....



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kuropatkin,
b. min. wojny, głównodowodzący wojsk ląd. w Mandżuryi.



Z wojny ros.-jap.:
Oficer kozaków syberyjskich.

Skandal dworski.

Europa, ta Europa, żądna senzacyi plotek i skandalów, która z równym apetytem zagląda do buduarów naszych dam półświatka jak i do sypialni książęcych, ma dziś nowy żer i to niebyle jaki, ucieczkę księżny Luizy Koburskiej z kąpielowej miejscowości Elster do Paryża, ucieczkę bardzo romantyczną ze względu na poprzedzające ją fakty.



Dwaj następcy tronu: Cesarz rosyjski Mikołaj II.

Księżna Luiza, córka króla belgijskiego Leopolda, wyszedłszy zamąż za marszałka wojsk austryackich księcia Filipa Koburga nie czuła się w tem małżeństwie szczęśliwą. Książę — jak sama opowiada — zupełnie ją zaniedbywał, tak, że musiała oglądnąć się za jakąś męską opieką, a wybór jej padł na porucznika piechoty węgierskiej Gezę Matachicha... Ta przyjaźń niebawem dała powód do różnych plotek... Księżnie Luizie zarzucono rozrzutność, uznano ją za chorą na umyśle, na co swe lekarskie parere dali tak wybitni psychiatrzy, jak zmarły prof. wiedeński Krafft-Ebing oraz drowie Jolly Wagner, Obersteiner, Winterstoisser i Pierson, i osadzono ją w sanatoryum dra Piersona w Koswig... Matachichowi zarzucono sfałszowanie na wekslu podpisu Stefanii hr. Lonyay siostry księżnej Luizy i osadzono go w więzieniu... Ta dworska afera przedstawia się tak niejasno, za niewinnością Matachicha przemawiało tyle dowodów, że gdy poseł Ignacy Daszyński poruszył sprawę tego wyroku w parlamencie, Matachich został ułaskawiony.

Sfery dworskie uważały sprawę za załatwioną. Ale Matachich przysiągł sobie, że póty nie spocznie póki nie uwolni księżnej Luizy. Przyjaciele dostarczyli mu pomocy materyalnej a Józef Waitzer, restaurator z Gracu osobiście ofiarował się dopomódz w uprowadzeniu księżnej, która opuściwszy na lato sanatoryum w Koswigu, udała się pod opieką szeregu dozorczyń i dra Piersona na letni wypoczynek do Elster

Sprzysiężonym udało się to niebezpieczne przedsięwzięcie; udało się nawet tak dobrze, że gdy ich szukano na drodze do Zurychu, oni siedzieli najspokojniej u posła Südekuma w Berlinie.

Dziś księżna Luiza wraz z Matachichem bawi w Paryżu. Sprawozdawcy dziennikarscy, którzy ją odwiedzają, wprost przeczą, jakoby księżna była chora na umyśle. Ale księżnie Luizie ani Matachichowi to nie wystarcza. Księżna poddała się obserwacyi lekarskiej, która może potrwa parę tygodni; zawezwano najsławniejszych psychiatrów francuskich, a gdy i oni potwierdzą dzisiejsze zdanie dziennikarzy paryskich, Matachich zażąda rewizyi swego procesu, powołując księżnę Luizę na głównego świadka, a księżna Luiza wystąpi ze swojemi pretensyami...

Zanim więc sprawa cała się wyjaśni, chciwa senzacyi Europa musi czekać i cieszyć się nadzieją ewentualnego skandalicznego procesu.

Uroczystość strażacka w Sanoku.

Z końcem lipca z kolei Sanok był widownią dorocznych uroczystości Związku ochotniczych straży pożarnych, dnia bowiem 23 tego miesiąca odbył się tam zjazd delegatów Związku, w którym



Skandal dworski: Ks. Luiza Koburgska. (Opis na str. 17).

wziął także udział prezes tej tak potrzebnej i pożytecznej w naszym kraju, tym kraju pożarów, instytucyi dr. Alfred Zgórski.

Rano, z uderzeniem godziny 8, na rynku sanockim zebrali się delegaci Związku i poprzedzani przez straż sanocką fabryczną i ochotniczą z Posady Sanockiej, które prowadził naczelnik tameczny nauczyciel ludowy Leopold Biega, udali się do kościoła, skąd po uroczystem nabożeństwie powrócili na Rynek, gdzie po stosownej przemowie prezes Związku dr. Zgórski wręczył dziesięciu członkom straży sanockiej honorowe dekoracye.

Po wspólnym skromnym obiedzie, który odbył się na cześć Związku w restauracyi „Corso", wieczorem tego samego dnia odbyło się przedstawienie amatorskie a na drugi dzień festyn ludowy z loteryą fantową i na tem skończył się tegoroczny zjazd delegatów.



Uroczystość strażacka w Sanoku: Wręczanie honor. dekoracyi członkom straży przez prezesa Związku dra Zgórskiego.

Kazimierz Zielonka.

Na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie, usypano świeżą mogiłę. Legł w niej na sen wieczny Kazimierz Zielonka, dziennikarz, o którym śmiało i bez zastrzeżeń powiedzieć można, iż był chlubą zawodu.

Służbę dla Ojczyzny rozpoczął bardzo wcześnie, bo już jako piętnastoletni chłopak wstąpił w szeregi powstańców i pod Chrobrzem walczył o niepodległość Polski. Po upadku powstania, ukończył śp. Zielonka studya i poświęcił się zawodowi dziennikarskiemu. Po kilkoletniej pracy w redakcyi „Dziennika lwowskiego", przeniósł się do Poznania, gdzie przez dziesięć lat był filarem „Dziennika poznańskiego", a wydalony jako poddany austryacki, wrócił do Lwowa i wstąpił do składu redakcyi „Gazety lwowskiej", w której pracował do końca życia.

Nieskazitelny charakter, czysty jak łza i serce na wskróś szlachetne, zapewniły zmarłemu w najszerszych kołach społeczeństwa naszego ogólne poważanie, a najwymowniejszym dowodem sympatyi, jaką się cieszył wśród kolegów, był orszak pogrzebowy w którym nie brakło ani jednego dziennikarza.

Umarł, przeżywszy lat 59. Cześć jego pamięci!

Nowy minister spraw wewnętrznych w Rosyi.

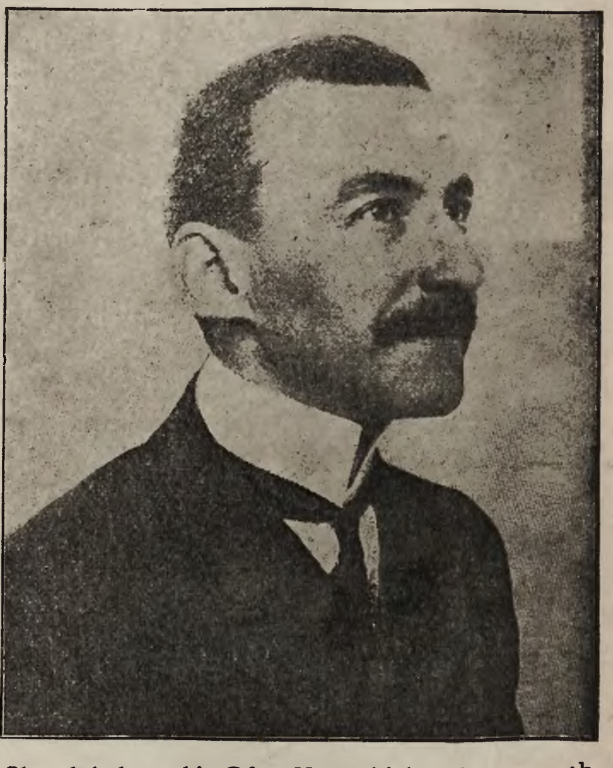
Po tragicznej śmierci Plewego, który skończył jako ofiara przez samego siebie wytworzonych stosunków, teka ministerstwa spraw wewnętrznych dłuższy czas była osieroconą, aż wreszcie z gabinetu carskiego wyszedł ukaz powierzający ją w ręce ks. Piotra Światopełka-Mirskiego.

Książe Swiatopełk-Mirski, pan na Mirzach w guberni Mińskiej, pochodzi z kniaziowskiego szczepu Ruryka i jest w prostej linii wnukiem ks. Jana Światopełka Mirskiego z Hańczy w gub. migustowskiej, który był posłem na sejm i członkiem delegacyi administracyjnej przy Radzie stanu Królestwa Polskiego.

Nowo mianowany minister, jak każdy wyższy urzędnik w Rosyi ma poza sobą karyerę wojskową. Urodzony 18 sierpnia 1857 po skończeniu kursów w korpusie paziów i w akademii mikołajewskiej jeneralnego sztabu został chorążym lajbgwardyi pułku huzarów. W r. 1877 jako dowódzca szwadronu wraz z ojcem swoim Dymitrem jenerałem piechoty brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej i przy zdobyciu Karsu otrzymał order św. Anny IV. kl. z napisem za waleczność. W tej samej wojnie dosłużył się jeszcze orderu św. Anny III. kl. z mieczami i wstęgą oraz godności carskiego fligeladjutanta. W dalszej karyerze wojskowej przesuwał się szybko ze stopnia na stopień, aż wreszcie w roku 1894 został jenerał-porucznikiem i jenerał-adjutantem cesarza.

Wtedy dopiero zaczęto go używać do służby administracyjnej. Przez kilka lat piastował on urząd wiceministra spraw wewnętrznych i szefa żandarmów — następnie kolejno był gubernatorem wileńskim, grodzieńskim i kowieńskim, a nakoniec dostał mu się najważniejszy w państwie rosyjskiem urząd ministra spraw wewnętrznych...

Taki jest krótki życiorys następcy ministra Plewego.



Skandal dworski: Géza Mattachich, były porucznik piechoty węgierskiej. (Opis na str. 17).

Krwawa korona.

Dnia 21 września z cytadeli belgradzkiej dał się słyszeć grzmot dwudziestu jeden wystrzałów działowych i obwieścił całej Serbii, że w tym dniu zbryzgana krwią króla Aleksandra korona Obrenowiczów spocznie na skroniach potomka dawnych władców tego kraju Karadżordżewiczów, na skroniach Piotra I.

Rok przeszło czekał nowy król serbski, by krew Aleksandra i jego złego ducha królowej Dragi obeschła na tej koronie. Rok czekał, aby władcy państw europejskich zapomnieli, w jaki sposób dostała się mu ta korona.

Huk wystrzałów w cytadeli belgradzkiej, który rozległ się także we wszystkich miastach garnizonowych Serbii dał znak rozpoczęcia uroczystości koronacyjnych.

Z konaku wśród szpalerów wojska wszelkiej broni, do katedry belgradzkiej wyruszył pochód koronacyjny.

Wyższy oficer konno prowadzi heroldów królewskich, za którymi postępuje oddział konnicy, poprzedzający karetę gubernatora dworu wraz z wychowawcami młodych książąt i marszałkiem nadwornym. Dalej posuwa się oddział gwardyi królewskiej i dwóch laufrów prowadzących czterokonną karetę galową z księżniczką Heleną i kuzynem królewskim, księciem Pawłem. Za nimi oddział chorążych ze sztandarami wszystkich pułków serbskich, dwóch heroldów królewskich, z których jeden dźwiga tarczę z herbem królewskim, a drugi sztandar królewski; wreszcie król Piotr I. konno, w mundurze galowym wodza armii serbskiej z oznakami orderów św. Łazarza i Białego Orła na szyi. Po bokach jego konno książęta Piotr i Aleksander. Pochód zamyka szwadron przybocznej gwardyi królewskiej.

W takim porządku zbliża się orszak do katedry, gdzie czeka króla metropolita w otoczeniu duchowieństwa, ciała dyplomatycznego, ministrów i wyższych urzędników państwa, oraz szpaler uczniów szkoły wojskowej.

W chwili, gdy król zsiada z konia, orkiestra gwardyi królewskiej gra hymn narodowy serbski. Król wstępuje do wspaniałej katedry, lśniącej od złota i drogich kamieni.

Po ceremonii religijnej, według obrządku wschodniego, metropolita białogrodzki wręcza królowi koronę, król nakłada ją sobie na skronie. W tej chwili działa twierdzy belgradzkiej dają 101 wystrzałów.

Po dopełnieniu koronacyi, król, metropolita, prezes ministrów, prezes skupszczyny, prezes rady państwa, oraz prezes sądu kasacyjnego podpisali w katedrze akt koronacyjny, poczem pochód ru-

szył z powrotem do konaku, gdzie król, siedząc na tronie w stroju koronacyjnym, przyjął hołd i powinszowania ciała dyplomatycznego, przedstawicieli władz i prowincyi, poczem cofnął się z rodziną do apartamentów prywatnych.



Dwaj następcy tronu: Helena, królowa włoska. (Opis na str. 17).

Półmilionowa defraudacya.

Przed krakowską ławą przysięgłych, rozpoczęła się dnia 22 września rozprawa na tle znanych malwersacyi finansów tutejszego towarzystwa kredytowego rękodzielników i przemysłowców. Jako główni oskarżeni występują: Maxymilian Müller, b. naczelnik biur tegoż towarzystwa, Bolesław Walla, b. kasyer, Roman Chmurski, b. dyrektor, oraz szwagier Müllera, kupiec Stanisław Barko.

To co przy rozprawie na jaw wychodzi, zdumiewać musi wszystkich uczciwych ludzi! Mimo „szkontrów“ i rozmaitego rodzaju „lustracyi“, defraudacye trwały przez cały szereg lat, bo od r. 1894 i — nikt na ich ślad wpaść nie mógł. Dlaczego? To jasne! Jakże można było wpaść na trop tej zbrodni, skoro malwersacyi dopuszczała się spółka złożona z dyrektora, naczelnika bióra i kasyera, t. j. z ludzi, którzy mieli przystęp do wszelkich książek towarzystwa i którzy też korzystali z tego w całej pełni, używając do przerabiania pozycyi nie tylko różnorodnych chemikaliów, ale nawet prostych scyzoryków!...

Co tych ludzi skłoniło do defraudacyi? Nic innego, jak tylko żądza używania i nienasycone pragnienie złota. Kasyera Wallę nęciły nocne hulanki w towarzystwie kochających za złoto pań półświatka. Główny obwiniony i naczelny defraudant Müller marzył o tem, aby spekulując cudzym groszem, zdobyć jaknajprędzej majątek. Spółka kupiecka, którą zawarł w tym celu ze swym szwagrem Barką, skończonym lekkoduchem i utracyuszem, zamiast przynieść mu jakiekolwiek zyski, zmuszała go do tonięcia coraz głębiej w bagno.... Wprawdzie wierząc w zły stan zdrowia swego wspólnika i niebezpieczywszy go na znaczne sumy, miał nadzieję lada chwila pokryć kradzież, za nim to jednak nastąpiło, a raczej za nim się przekonał, że owe zapewnienia wspólnika o chorobach nurtujących jego organizm, są z gruntu fałszywe — on zaś sam pomimo przyrzeczenia, iż w danej chwili życie sobie odbierze, ani myśli o tem — wypadek prosty odkrył całą tę zbrodniczą manipulacyę i wszyscy wspólnicy znaleźli się pod kluczem, a dziś sprawiedliwość wyrokiem sądu oby atelskiego zostanie im wymierzona!...

Rozprawa rozpisana na dziesięć dni, potrwa zapewne dłużej, gdyż sąd ma do rozpatrywania „agendy“ spółki jeszcze — jak wspominaliśmy — od r. 1894. O wyroku i ważniejszych momentach rozprawy, nie zapomnimy poinformować naszych czytelników. W niniejszym numerze podajemy podobizny Müllera i Barki.

Dr. Stanisław Głąbiński.

Nowowybrany poseł lwowski, który sięgnął po mandat osierocony po śp. Tadeuszu Romanowiczu, wszedł do pałacu sejmowego po zaciętej walce, stoczonej przez zwolenników jego kandydatury, grupujących się około „Słowa polskiego“ z nieprzyjaciółmi, nie tyle samego kandydata, ile sztandaru wszechpolskiego, pod który uciekł się — zupełnie niepotrzebnie prof. Głąbiński.

Znakomity ekonomista, jest jako profesor ozdobą lwowskiej *almae matris,* jako radny miejski, odznaczył się kilkakrotnie, układając budżet gminny, zaś jako poseł do parlamentu, wybił się odrazu na plan pierwszy, jako wyborny mowca.

Sejm zyskał w nim siłę niepoślednią.

Krwawe dni w Afryce.

Niemieckie kolonie w Afryce są widownią krwawych scen i dramatów. Ludność tubylcza Herrerowie, wyprowadzona z granic cierpliwości okrucieństwem i zdzierstwem kolonistów niemieckich zerwała się do boju...

Z większej części kolonii niemieckich pozostały tylko zgliszcza, wśród których bielą się kości w straszny sposób pomordowanych Niemców.

Rząd zrazu nieprzywiązywał do tego powstania wielkiej wagi; sądził, że pożar ten grozą jego europejskiej potęgi i wojskami kolonialnemi da się łatwo ugasić, ale niebawem poznał, że nie docenił doniosłości faktu, ani też sił, jakiemi rozporządzają czarni powstańcy.

I do kolonii afrykańskich wyruszyły z Europy posiłki pod wodzą jenerała Trothy.

Najciekawszą jednak w tych walkach rzeczą jest fakt, że Hererowie walczą z wojskami niemieckiemi bronią zakupioną u... niemieckich kupców, że powstanie swe doskonale zorganizowali, że długo układali plany, długo przygotowywali się, zakupowywali broń, proch, kule, a — rząd kolonialny niemiecki nic a nic o tem nie wiedział, nieprzeczuwał nawet, że siedzi na wulkanie, który



Krwawa korona: Piotr I, król serbski. (Opis na str. 18).

lada chwila wybuchnie, a którego ugaszenie dużo strat w pieniądzach i wojsku kosztować będzie.

W ostatnich czasach z tego terenu walki bardzo mało wiadomości dociera do Europy. I nic dziwnego! Mądrzy a dumni Niemcy, ci bojownicy „kultury“ nie chcą przyznawać się otwarcie, że biorą dobre cięgi od dzikich niewykształconych Herrerów...

Nie przeszkadza to jednak wcale Hererom do wyrządzania różnych dotkliwych nieprzyjemności



Dwaj następcy tronu: Wiktor Emanuel II, król włoski. (Opis na str. 17).

wojującym z nimi Niemcom. Nie żądni ani europejskiej sławy, ani oklasków, jakiemi tłum nagradza gladyatorów, ograniczają się na garbowaniu skóry niemieckich kulturträgerów w cichości.

A że garbują tę skórę porządnie, dowodem są głosy prasy niemieckiej, domagające się zaprowadzenia niewolnictwa po uspokojeniu burzy.

Pytanie tylko, czy uspokojenie wogóle kiedy nastąpi.



Ks. Świątopełk-Mirski, nowo mianowany min. spraw wewn. w Rosyi. (Opis na str. 18).

Rycina nasza przedstawia grupę Herrerów w ich rodzimem uzbrojeniu. Tak sfotografował ich za spokojnych czasów korespondent niemiecki, gdyż woleli nieprzyznawać się do posiadania karabinów wcale nie gorszych od pruskich.



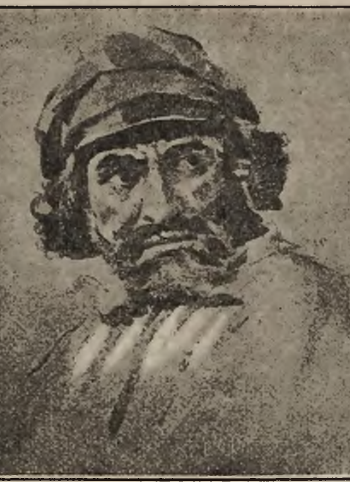
Krwawe dni w Afryce: Grupa Herrerów w rodzimem uzbrojeniu.



„Pojedynek szlachetnych“.



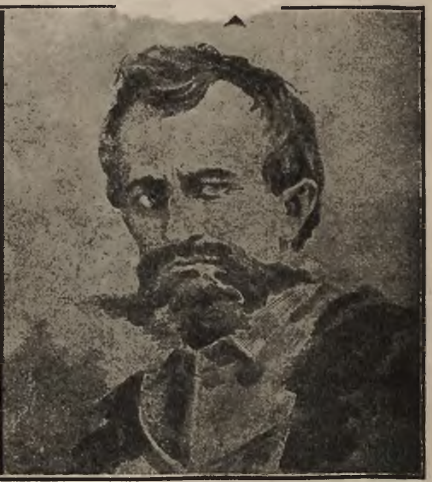
„Złe ziarno“.



„Klucz w zamku“.



„Emancypowane“.



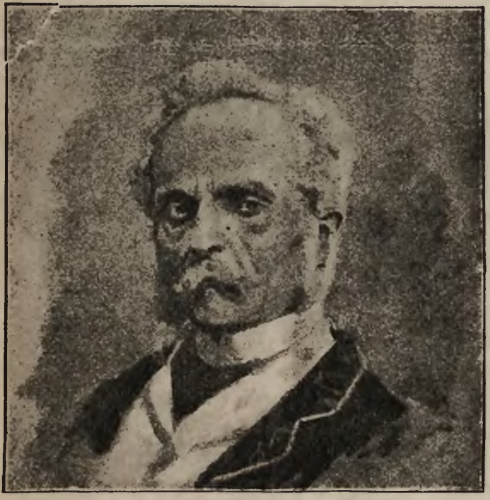
„Otello“.



„Mazepa“.



„Opieka wojskowa“.



„Babie lato“.



Wincenty Rapacki.



„Wit Stwosz“.

Wincenty Rapacki.

Nużącą monotonię w repertuarze teatru krakowskiego przerwały w ostatnich dwóch tygodniach gościnne występy Wincentego Rapackiego, artysty scen warszawskich.

Znany, niespożytych zasług i nieśmiertelnej sławy artysta zdobył sobie tymi występami tem większe prawo do wdzięczności Krakowa — ile że młodsze pokolenie naszego miasta nie znało wcale potężnych, spiżowych kreacyi ostatniego z niezapomnianej i jak dotąd niezastąpionej trójki, nazywającej się Żółkowski, Królikowski, Rapacki...

Tamci dwaj — znacznie starsi wiekiem od Rapackiego — zamilkli już... Wspaniałych postaci niezliczone szeregi zeszły z nimi z widowni... Pozostał trzeci — Tytan prawdziwy... Silny i młody zawsze mimo sześćdziesiątki, tyle ognia, werwy i zapału wnosi na scenę wraz z olbrzymim zasobem talentu i pracy — że doprawdy żałować wypada tych, którzy nie korzystając ze sposobności, nie poszli go zobaczyć w jego Łatce, Shyllocku lub księciu Karolu!

Prawdziwie wierzyć się nie chce, patrząc na tą postać, słuchając dźwięcznego organu — że artysta ten czterdzieści lat pracował w zawodzie ciężkim, pełnym cierni i przykrości, w zawodzie, w którym jak na wojnie lata służby podwójnie liczyć by się powinny...

A przecież tak jest; Rapacki w latach sześćdziesiątych grywał w Wilnie; później we Lwowie za dyrekcyi Miłaszewskiego pracował z śp. Kalińskim, Wilkoszewskim, Królikowskim Karolem i tyloma innymi — dziś nieboszczykami! Wreszcie po pięcioletniej służbie w Krakowie, gdzie z Modrzejewską, Hofmanową, Bendami i t. d. potężną tworzył twierdzę sztuki dramatycznej polskiej — przeniósł się na stałe do Warszawy, gdzie odrazu pierwszorzędne zająwszy stanowisko, do dziś jest chlubą i filarem teatru Wielkiego.

Ramy pisma naszego nie pozwalają na obszerniejszą ocenę znakomitej gry artysty; zresztą — pisma codzienne zamieszczały krytyki z każdego jego występu.

W numerze dzisiejszym „Nowości illustrowanych“ podajemy tylko portret Rapackiego, zdjęty w ostatnich dniach jego tu pobytu i kilka podobizn jego kreacyi. Kilka z nich widziała publiczność krakowska na ostatnich tu występach, a wychodząc z każdej takiej artystycznej biesiady zachwycona, powtarzała niestety: „Niema już dziś takich artystów w Krakowie!“...

Podobizny charakterów, które w „Nowościach“ podajemy, otrzymaliśmy od sympatycznego artysty naszego teatru, też jubilata — choć znacznie młodszego p. Leona Stępowskiego, za co mu na tem miejscu wyrażamy nasze podziękowanie.

Portret środkowy, nawiasem mówiąc, świetnie uchwycony, wyszedł z pracowni fotograficznej p. Juliusza Miena w Krakowie.

KTO POSIADA MUZYKALNE UCHO

NAWET GDYBY NIGDY NA ŻADNYM INSTRUMENCIE GRAĆ SIĘ NIE UCZYŁ

MOŻE WYKONYWAĆ ZA POMOCĄ

SAMOGRAJÓW

NA KAŻDYM FORTEPIANIE I NA KAŻDEM PIANINIE

WSZYSTKIE UTWORY LITERATURY MUZYCZNEJ, NIE WYŁĄCZAJĄC NAJTRUDNIEJSZYCH

POD WZGLĘDEM TECHNICZNYM:

BIEGLE, CZYSTO I RÓWNO

JAK ŻADEN WIRTUOZ — NAWET NAJZNAKOMITSZY — WYKONAĆ NIE ZDOŁA

POD WZGLĘDEM DUCHOWYM:

DOWOLNIE WEDŁUG WŁASNEGO POJMOWANIA I ODCZUWANIA WYKONYWANEGO UTWORU.

PRZY JEDYNIE FIZYCZNEJ PRACY GRAJĄCEGO, WYKONANIE UTWORU PRZEZ SAMOGRAJE NIE RÓŻNI SIĘ NICZEM OD WYKONANIA PRZEZ JAKIKOLWIEK AUTOMAT JEŻELI NATOMIAST GRAJĄCY MUZYKĘ KOCHA I ROZUMIE, OD ILOŚCI I JAKOŚCI WYŁOŻONEJ PRZEZ NIEGO PRACY DUCHOWEJ ZALEŻY, O ILE WYKONANIE PRZEZ SAMOGRAJE PRZEWYŻSZY NAWET NAJIDEALNIEJSZE WYKONANIE NAWET NAJGENIALSZEGO WIRTUOZA.

SAMOGRAJE BEZ NUT KOSZTUJĄ:



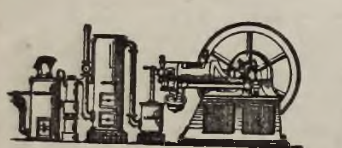
PIANOLA. . . .	Koron 1400
PIANAUTO. . .	„ 1200
ANGELUS . . .	„ 1000
PIANISTA . . .	„ 800
PARAGON. . .	„ 600
ORGANISTA .	„ 400



WYŁĄCZNY ZASTĘPCA NA GALICYĘ I BUKOWINĘ: GABRYELSKI — KRAKÓW.

Biuro techniczne

F. LORD



Kraków

Floryańska 55.

Telefon Nr. 230.

Skład maszyn, narzędzi i artykułów technicznych dla wszelkich gałęzi przemysłu.

Zastępstwo Austryackich zakładów **„Siemens-Schuckert“**, Wiedeń.

Instalacya elektrycznego oświetlenia i przeniesienia siły; plany, kosztorysy i projekty gratis.

Maszyny parowe, kotły, motory gazowe i generatory. Kamienie francuskie i krajowe. Walce porcelanowe i stalowe. — Pompy i sikawki. Węże gumowe i parciane.

Skład i wyłączna sprzedaż oryginalnych rosyjskich olei smarowych firmy: S. M. Schibaef & Co. Tłuszcz Towota. Zastępstwo firmy F. Reddaway & Co. Ltd. dla pasów oryginalnych „Reddaway“. Pasy skórzane, parciane i gumowe. Paski do szycia i krupony. Płyty i sznury gumowe i asbestowe. Przybory do maszyn (armatury) wszelkiego rodzaju. Liny parciane i druciane. Płótna i papier szmirglowy. Maźnicy i oliwiarki wszelkiego rodzaju. Pokrowce nieprzemakalne i wszelkie armatury dla urządzeń wodociągowych, łazienek i klozetów. Dzwonki elektryczne i przybory do tychże. Papier szybrowy.

Wkrótce opuści prasę

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1905

Cena 1 Korona.

Pierwszy i jedyny w Galicyi

C. K. RZĄDOWO UPRAWNIONY

ZAKŁAD WOJSKOWO-NAUKOWY

emerytowanego c. k. rotmistrza

ADOLFA KORNBERGERA W KRAKOWIE

przysposabia:

a) do egzaminu na jednorocznych ochotników **(Intelligenzprüfung)**;
b) do egzaminu wstępnego do szkół kadeckich i do akademij wojskowych;
c) do **egzaminu kadeckiego**, celem pozyskania stopnia oficerskiego w czynnej służbie, bez poprzedniego uczęszczania do szkół wojskowych;
d) do egzaminu uzupełniającego (Ergänzungsprüfung zum Berufsoffizier);
e) do egzaminu oficerskiego w rezerwie i obronie krajowej;

oraz przygotowuje prywatnie:

f) do matury, tudzież
g) do egzaminów publicznych dla wszystkich klas szkół średnich.

W Zakładzie nauczają Profesorowie i zastępcy nauczycieli szkół średnich, przedmiotów treści nauki wojskowej, zawodowi profesorowie oficerowie.

Szczególną uwagę zwracać należy na kursa przygotowawcze do egzaminu kadeckiego, na których ukończeni uczniowie szkół średnich lub kandydaci posiadający egzamin inteligencyjny, mogą nabyć w ciągu jednego roku kwalifikacyę uprawniającą do uzyskania rangi kadeta, a następnie do nominacyi na oficera. Jest to najkrótsza droga do pozyskania zaszczytnego i stosunkowo dobrze płatnego stanowiska.

Wytrawne siły nauczycielskie, znakomite rezultaty egzaminacyjne, **wszyscy uczniowie kursów letnich w Zakładzie w 1904 r., zdali ponownie wszelakie egzamina: inteligencyjne, wstępne do szkół kadeckich, publiczne dla szkół średnich i t. d., z dobrym rezultatem**, tania nauka, także szermierki i języków, wygodny **Pensyonat** (również dla starszych inteligentnych uczniów szkół średnich i dla prywatystów), zaopatrzone w ilustrowane pisma w różnych językach, oraz w dzienniki, fortepian, gry towarzyskie i t. d., staranna opieka rodzicielska, ścisły nadzór lekarski, własne łazienki itp. nadają Instytutowi znamię pierwszorzędnego zakładu.

Nowe kursa rozpoczęły się 1 września. Później wstępujący uczniowie otrzymają stoso‹ną pomoc w naukach.

Dokładnych wyjaśnień udziela

Dyrekcya Zakładu, ul. Stachowskiego, Willa Wanda l. 15.

Z tym Zakładem połączone jest **Biuro informacyjne dla wszelkich spraw wojskowych** koncesyonowane przez c. k. Władze wojskowe i cywilne.

PALCIE TYLKO

„PROGRESS“

ZDROWOTNE TUTKI



„PROGRESS“ zdrowotne tutki wyrabiane z najlepszego papieru, wychodzą z maszyny całkiem gotowe, szyte (nieklejone), drukowane i opatrzone w munsztuki, wypełnione chemicznie czystą „sznurową watą“, pochłaniającą nikotynę. Maszyna układa je także automatycznie w pudełkach.

„PROGRESS“ zdrowotne tutki chro[nią] przed chorobami udzielającymi si[ę] od ludzi, ponieważ w czasie wyrobu nie dotyka ich ręka ludzka.

„PROGRESS“ zdrowotne tutki są największą zdobyczą nowoczesnej hygieny, w dziedzinie fabrykacyi tutek. Maszyna „Progress“ jest jedyną w Monarchii.

Do nabycia w c. k. trafikach.

Maszynę można oglądać w poniedziałek i czwartek między 4—5 godziną we fabryce przy ulicy Pawiej L. 12.

KANTOR WYMIANY

FILII C. K. UPRZYW. GALIC. AKCYJNEGO

BANKU HIPOTECZNEGO

w Krakowie, Rynek główny L. 42, Linia A-B

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie **papiery wartościowe**, banknoty zagraniczne i monety, wydaje **przekazy** na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów. Zlecenia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą bez doliczenia prowizyi.

Filia c. k. uprz. gal. akc. Banku hipotecz.

wydaje

ASYGNATY KASOWE

oraz przyjmuje **wkładki** do oprocentowania w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu książeczki wkładkowe.

Filia c. k. Banku hipotecznego przyjmuje **depozyta** wartościowe do przechowania, udziela zaliczki na papiery wartościowe i uskutecznia zlecenia na zakupno lub sprzedaż efektów na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.